Anatomia współczesnej potęgi: tożsamość, demografia i klimat w świecie Johna Andrewsa

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje ewolucję myśli geopolitycznej, przeciwstawiając optymistyczną tezę Francisa Fukuyamy o końcu historii brutalnej diagnozie Samuela Huntingtona. Autor wskazuje, że współczesny świat nie zmierza ku uniwersalnej konwergencji liberalnej demokracji, lecz jest kształtowany przez powrót ideologii i silne podziały cywilizacyjne. Kluczowym elementem analizy jest kategoria thymus – ludzka potrzeba uznania i godności, która często okazuje się silniejszym motywatorem politycznym niż racjonalny zysk ekonomiczny. Na przykładach takich jak Brexit czy rozwój Chin pokazano, że tożsamość, religia i przynależność kulturowa mogą przeważać nad materialnym dobrobytem, co podważa tradycyjne modele ekonomicznej antropologii polityki i rzuca nowe światło na mechanizmy współczesnych konfliktów globalnych.

The article analyzes the evolution of geopolitical thought, contrasting Francis Fukuyama's optimistic thesis on the end of history with Samuel Huntington's brutal diagnosis. The author indicates that the modern world is not moving toward a universal convergence of liberal democracy, but is instead shaped by the return of ideology and strong civilizational divides. A key element of the analysis is the category of thymus—the human need for recognition and dignity, which often proves to be a stronger political motivator than rational economic gain. Using examples such as Brexit or the rise of China, it is shown that identity, religion, and cultural belonging can outweigh material prosperity, undermining traditional models of the economic anthropology of politics and shedding new light on the mechanisms of contemporary global conflicts.

Artykuł analizuje współczesną geopolitykę przez pryzmat myśli Johna Andrewsa, stawiając tezę, że świat wkroczył w erę głębokiego napięcia między tradycyjnym dążeniem państw do suwerenności a nowymi, destabilizującymi siłami o charakterze niepaństwowym i systemowym. Autor dowodzi, że naiwny optymizm liberalnego globalizmu został zastąpiony przez brutalną rzeczywistość polityki tożsamości, asymetrycznych zagrożeń (takich jak kartele czy sieci terrorystyczne) oraz biologicznych i fizycznych determinizmów w postaci kryzysów demograficznych i zmian klimatycznych. Głównym wyzwaniem dla mocarstw nie jest już tylko rywalizacja o dominację terytorialną, lecz konieczność przejścia od strategii izolacjonizmu (tzw. „mozaiki fortec") ku dojrzałej formie Realpolitik. Ta nowa strategia musi łączyć budowanie wewnętrznej odporności państwa z pragmatyczną współpracą międzynarodową w obszarach, gdzie zagrożenia są radykalnie transgraniczne. Tekst sugeruje, że przetrwanie współczesnych systemów politycznych zależy od zdolności państw do uznania, że w świecie totalnej współzależności siła militarna jest niewystarczająca bez instytucjonalnego zaplecza i zdolności do zarządzania wspólnym dobrem.

SŁOWA KLUCZOWE

anatomia współczesnej potęgi | koniec historii | zderzenie cywilizacji | potrzeba uznania | thymos | asabijja | mozaika fortec | pułapka Tukidydesa | realpolitik | geopolityczna ekonomia legitymizacji | fragmentacja globalizacji | odporność strategiczna | konwergencja ustrojowa | bezpieczeństwo kulturowe

Powrót ideologii i starcie wizji końca historii

Ideologia wraca przez drzwi, z których miała zostać wyrzucona. Fukuyama, Huntington i polityka tożsamości

Upadek komunizmu wywołał na Zachodzie intelektualną euforię; zwycięstwo konkretnego układu geopolitycznego łatwo pomylono wówczas ze zwycięstwem uniwersalnej zasady historii. Związek Radziecki przestał istnieć, gospodarki planowe straciły atrakcyjność, a liberalna demokracja i kapitalizm rynkowy zyskiwały nowych zwolenników w rytm globalizacji ekonomicznej, która

rozszerzała się z niespotykaną dotąd szybkością. W tej atmosferze pojawiła się teza Francisa Fukuyamy o „końcu historii" — jedna z najbardziej wpływowych, a zarazem najczęściej błędnie interpretowanych idei końca XX wieku. Andrews przeciwstawia jej brutalną diagnozę Samuela Huntingtona, sugerując, że doświadczenia XXI stulecia coraz wyraźniej przemawiają za światem „zderzenia cywilizacji", w którym religia, kultura i pamięć historyczna okazują się silniejsze niż liberalna obietnica konwergencji.

Aby ten spór miał wartość analityczną, należy najpierw uwolnić Fukuyamę od karykatury jego własnej tezy. „Koniec historii" nie był twierdzeniem, że przestaną wybuchać wojny, znikną religie, nacjonalizmy czy tyranie, albo że ludzie odtąd zajmą się wyłącznie konsumpcją. W eseju z 1989 roku Fukuyama rozważał kwestię znacznie bardziej abstrakcyjną: czy liberalna demokracja, po wyczerpaniu wielkich konkurencyjnych ideologii nowoczesności, nie stała się końcowym punktem ewolucji form ustrojowych. Historia mogła nadal produkować dramatyczne wydarzenia, ale przestała generować alternatywne projekty polityczne o tak uniwersalistycznych roszczeniach jak liberalizm, faszyzm czy komunizm. To rozróżnienie jest kluczowe, gdyż wiele prób „obalenia Fukuyamy" opierało się na dowodach, których jego teza wcale nie wymagała. Wojna w Jugosławii, zamachy terrorystyczne czy odrodzenie nacjonalizmu nie obalają same w sobie końca historii.

Podważenie mocniejszej wersji hipotezy Fukuyamy wymagałoby wykazania, że pojawił się konkurencyjny model organizacji politycznej, zdolny przedstawić się jako uniwersalnie lepsza odpowiedź na problemy nowoczesności. Prawdziwym wyzwaniem nie jest zatem samo istnienie autorytaryzmu, lecz możliwość, że autorytarna modernizacja, nacjonalistyczny kapitalizm lub cywilizacyjnie legitymizowane państwo rozwojowe staną się atrakcyjnymi wzorcami konkurencyjnymi wobec liberalnej demokracji. XXI wiek skomplikował optymizm końca zimnej wojny bardziej, niż wynikałoby z prostego powrotu konfliktów. Chiny udowodniły bowiem, że głęboka integracja z gospodarką światową nie musi prowadzić do konwergencji ustrojowej w zachodnim sensie.

Religia nie zniknęła wraz z modernizacją, a nacjonalizm nie został rozpuszczony przez handel. Internet nie stworzył jednej globalnej sfery publicznej; zamiast tego umożliwił niezwykle skuteczne organizowanie wspólnot gniewu, pamięci i resentymentu. Globalizacja połączyła społeczeństwa materialnie, lecz nie zunifikowała ich rozumienia godności, historii ani politycznej przynależności.

Potrzeba uznania i tożsamość jako nadrzędne motywatory polityczne

Co więcej, sam Fukuyama z czasem przesunął uwagę ku problemowi, który Andrews uważa za centralny: potrzebie uznania. W późniejszych pracach rozwija on kategorię thymos, zaczerpniętą z tradycji platońskiej, by opisać ludzkie pragnienie godności, szacunku i społecznego uznania. Według jego współczesnej interpretacji polityka tożsamości wyrasta z poczucia, że wartość jednostek lub grup nie jest odpowiednio rozpoznawana. Nacjonalizm, populizm czy religijny radykalizm mogą wtedy funkcjonować nie tylko jako systemy poglądów, ale jako mechanizmy odzyskiwania poczucia znaczenia. Jest to kluczowe dla zrozumienia świata Andrewsa: człowiek nie jest wyłącznie podmiotem maksymalizującym dobrobyt. Ekonomiczna antropologia polityki okazuje się zbyt wąska, jeśli zakłada, że sam wzrost dochodów uczyni konflikty tożsamościowe drugorzędnymi.

Ludzie chcą konsumować, lecz pragną również należeć. Szukają bezpieczeństwa, ale i szacunku. Chcą możliwości ekonomicznych, nie chcąc być jednocześnie traktowani jak wymienne jednostki bez historii. Potrafią zaakceptować materialną stratę, jeśli uznają ją za cenę odzyskania godności, suwerenności lub statusu wspólnoty. Stąd bierze się jedna z najbardziej uporczywych zagadek ekonomicznego racjonalizmu: społeczeństwa czasem głosują za rozwiązaniami, które w krótkim okresie mogą obniżyć ich dobrobyt materialny. Nie musi to świadczyć o irracjonalności wyborców; może oznaczać, że ekonomista mierzy niewłaściwą funkcję użyteczności. Jeśli dla obywatela suwerenność, religia, język, bezpieczeństwo kulturowe lub poczucie kontroli są dobrami politycznymi, ich wartość może przewyższyć przewidywaną zmianę produktu krajowego brutto.

Brexit był pod tym względem lekcją nie tylko dla Brytyjczyków, ale i dla całej Europy. Debata koncentrowała się na handlu, wzroście, inwestycjach i kosztach opuszczenia jednolitego rynku, podczas gdy znaczna część mobilizacji politycznej dotyczyła pojęć nieprzeliczalnych na procenty PKB: kontroli, granicy, suwerenności, przynależności i przekonania, że decyzje powinny być ponownie podejmowane „u siebie". Można kwestionować diagnozy ekonomiczne zwolenników Brexitu, a jednocześnie rozumieć, że ich podstawowa potrzeba nie miała charakteru finansowego. Podobnie nacjonalizm nie jest zwykłym błędem poznawczym społeczeństw niedostatecznie wykształconych w teorii globalizacji. To jeden z najskuteczniejszych mechanizmów tworzenia wielkoskalowej solidarności, jakie wypracowała nowoczesność. Pozwala milionom obcych sobie ludzi uznać, że należą do jednej wspólnoty, dzielą wspólną historię, mają wzajemne zobowiązania i mogą żądać politycznej lojalności. Nacjonalizm jest zatem jednym z nowoczesnych odpowiedników

ʿasabijji: przekształca abstrakcyjne "społeczeństwo" w emocjonalne "my". Ta zdolność wyjaśnia zarówno jego siłę konstrukcyjną, jak i destrukcyjną.

Naród może organizować solidarność fiskalną, służbę publiczną, demokrację i państwo dobrobytu. Ludzie płacą podatki na szkołę, do której nie chodzą ich dzieci, finansują leczenie nieznajomych i akceptują redystrybucję właśnie dlatego, że istnieje wystarczająco silne wyobrażenie wspólnoty politycznej. Ta sama logika może jednak stać się mechanizmem wykluczenia: gdy „my" staje się kategorią politycznie wartościową, zawsze pojawia się pytanie o to, kto do nas nie należy. Nacjonalizm jest potężny nie dlatego, że ludzie kochają flagi, lecz dlatego, że odpowiada na problem granic solidarności. Liberalizm mówi o uniwersalnej godności człowieka, jednak państwo musi podejmować konkretne decyzje dotyczące tego, wobec kogo ponosi szczególne zobowiązania. Komu wypłaci świadczenie? Kogo będzie bronić armia? Kto może głosować? Kogo przyjmie na swoje terytorium? Jaką historię będzie uczyć w szkole? Każda z tych decyzji wymaga zdefiniowania wspólnoty.

W tym kontekście migracja staje się jednym z najtrudniejszych problemów współczesnej polityki. Ekonomicznie migrant może być pracownikiem uzupełniającym niedobór podaży pracy, demograficznie – odpowiedzią na starzenie się społeczeństwa, a humanitarnie – człowiekiem uciekającym przed wojną lub biedą. Politycznie jednak jego pojawienie się uruchamia pytanie o to, kto należy do wspólnoty i na jakich warunkach można do niej wejść. Żaden model rynku pracy nie rozwiąże samodzielnie problemu tożsamości, ponieważ zatrudnienie i przynależność są dwiema różnymi kategoriami.

Tożsamość i kultura jako bariery kompromisu

Andrews łączy kryzys demograficzny z narastającym nacjonalizmem. Starzejące się społeczeństwa mogą ekonomicznie potrzebować migracji, a jednocześnie politycznie ją odrzucać. Nie ma w tym logicznej sprzeczności, jeśli przyjmiemy, że obywatele nie dążą wyłącznie do maksymalizacji dochodu; ciągłość kulturowa może być dla nich dobrem cenniejszym niż wyższy wzrost gospodarczy. Wyzwaniem dla polityki demokratycznej nie jest zatem pouczanie obywateli, że błędnie kalkulują zyski, lecz znalezienie instytucjonalnej odpowiedzi, która pogodzi potrzeby rynku pracy z wiarygodnym poczuciem kontroli nad zmianą społeczną.

Religia działa w podobny sposób, choć sięga głębiej, oferując nie tylko wspólnotę, ale i system ostatecznych znaczeń. O ile państwo może negocjować stawkę podatku, o tyle znacznie trudniej negocjować prawdę objawioną, świętość miejsca, sens męczeństwa czy obowiązki wynikające z wiary. Gdy konflikt polityczny zostaje sakralizowany, koszt kompromisu gwałtownie rośnie.

Ustępstwo przestaje być wtedy strategicznym wyborem, a staje się grzechem, zdradą lub pogwałceniem świętego obowiązku.

Tę dynamikę dostrzegł Samuel Huntington. W słynnym eseju z 1993 roku twierdził, że po wygaśnięciu wielkich konfliktów ideologicznych główne linie podziału w polityce światowej będą przebiegać między wspólnotami definiowanymi kulturowo i cywilizacyjnie. Choć państwa miały pozostać kluczowymi aktorami, ich spory coraz częściej będą nakładać się na różnice cywilizacyjne. Andrews przejmuje tę intuicję, nadając jej współczesny sens: interes gospodarczy nie znika, lecz jest interpretowany przez pryzmat zbiorowej pamięci, religii i obrazu własnego miejsca w świecie.

Huntington zyskał przewagę nad naiwnym optymizmem globalistycznym, ponieważ nie zakładał, że intensywniejsze kontakty muszą prowadzić do kulturowej homogenizacji. Kontakt może dostarczać wiedzy o innych, ale może również wzmacniać świadomość różnic. Globalna komunikacja niekoniecznie ujednolica; często pozwala grupom precyzyjniej dostrzegać odrębności, porównywać status i mobilizować się przeciwko postrzeganemu zagrożeniu. Internet jest pod tym względem ironicznym narzędziem historii. Technologia, która miała stworzyć globalną wioskę, umożliwiła jednocześnie powstawanie coraz szczelniejszych wiosek tożsamościowych. Algorytm łączy emigranta z diasporą, radykała z radykałami, wyznawcę z globalną wspólnotą religijną, a nacjonalistę z ludźmi podzielającymi jego mit historyczny. Geografia komunikacji kurczy się, lecz geografia emocjonalna może się utwardzać.

Nie oznacza to jednak, że Huntington „wygrał” ten spór w prostym sensie.

Tożsamość jako soczewka i język konfliktu

Model ten obarczony jest istotną wadą: traktuje cywilizacje jako jednostki bardziej spójne, niż są nimi w rzeczywistości społeczeństwa. „Zachód”, „świat islamu” czy „cywilizacja chińska” i „hinduistyczna” mogą służyć jako użyteczne kategorie na wysokim poziomie abstrakcji, jednak wewnątrz każdej z nich istnieją głębokie podziały klasowe, polityczne, regionalne, narodowe, językowe, religijne oraz pokoleniowe. Krytyka paradygmatu Huntingtona wskazuje właśnie na błąd traktowania płynnych i przenikających się kultur jak zwartych bloków geopolitycznych. Najsilniejszym kontrargumentem wobec skrajnego huntingtonizmu jest sama liczba konfliktów rozgrywających się wewnątrz domniemanych cywilizacji. Wojny często wybuchają między państwami należącymi do tej samej tradycji kulturowej – czego przykładem jest rywalizacja sunnicko-szyicka wewnątrz świata islamu.

Rosja i Ukraina należą do znacznie bliższych sobie kręgów kulturowych, niż wynikałoby to z modelu wielkich bloków cywilizacyjnych, a mimo to znajdują się w konflikcie egzystencjalnym. Najkrwawsze starcia w historii Europy przez stulecia toczyły się między chrześcijańskimi państwami tej samej szeroko rozumianej cywilizacji. Kultura może wyznaczać linię sporu, ale równie dobrze może stać się zasobem, za pomocą którego konflikt wynikający z innych przyczyn zostaje później objaśniony i legitymizowany.

Warto zatem odróżnić tożsamość jako przyczynę konfliktu od tożsamości jako jego języka. Grupy mogą rywalizować o ziemię, władzę, zasoby lub bezpieczeństwo, a następnie opisywać tę walkę w kategoriach religijnych bądź etnicznych. Z drugiej strony sama pamięć religijna i etniczna potrafi zmienić percepcję zagrożenia tak głęboko, że materialny kompromis przestaje być wystarczający.

W rzeczywistości oba mechanizmy zwykle się przeplatają. Tożsamość nie jest więc odrębną zmienną obok interesu, lecz soczewką, przez którą ten interes jest rozumiany. Motyw ten wybrzmiewa najmocniej w notatce Andrewsa: kultura i historia pozwalają narodom określić, co w ogóle uznają za zagrożenie egzystencjalne. Dwa państwa w podobnej sytuacji materialnej mogą reagować zupełnie odmiennie, ponieważ różnie interpretują znaczenie granicy, terytorium, dawnego upokorzenia czy miejsca świętego. Pamięć jest zatem zasobem geopolitycznym. Chiny odwołują się do „stulecia upokorzeń", Rosja do własnej interpretacji historii imperium i II wojny światowej, państwa postkolonialne do doświadczenia zachodniej dominacji, a społeczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej do pamięci utraty suwerenności. Przeszłość w polityce nie jest jedynie zbiorem wydarzeń; jest selekcjonowana i przekształcana w instrukcję rozumienia teraźniejszości.

Stąd pojęcia „Zachodu" i „Globalnego Południa" mają charakter bardziej polityczny niż geograficzny. Australia leży na południowej półkuli, lecz zazwyczaj zalicza się ją do politycznego Zachodu. Japonia, choć znajduje się w Azji, należy do głównych demokratycznych partnerów Stanów Zjednoczonych. „Globalne Południe" obejmuje z kolei państwa niezwykle zróżnicowane pod względem ustroju, bogactwa i interesów – nie jest ono jednolitym podmiotem politycznym. Określenia te funkcjonują jednak dlatego, że pozwalają organizować doświadczenie świata wokół wspólnej narracji. Andrews trafnie dostrzega tutaj problem percepcji zachodniego ładu opartego na zasadach. Z perspektywy wielu państw spoza Zachodu system zbudowany po 1945 roku nie jest neutralnym porządkiem uniwersalnym, lecz strukturą, która skodyfikowała układ potęgi korzystny dla jej twórców.

Tożsamość jako kosztowny i niepodzielny zasób geopolityczny

Można polemizować z zakresem tego oskarżenia, lecz nie można strategicznie ignorować samego faktu jego istnienia. Polityka zależy bowiem nie tylko od obiektywnej sprawiedliwości systemu, ale przede wszystkim od tego, czy wystarczająco wielu uczestników uznaje go za sprawiedliwy. Legitymizacja posiada własną geopolityczną ekonomię. Porządek postrzegany jako prawomocny wymaga mniej przymusu, gdyż podmioty stosują się do reguł nawet wtedy, gdy konkretne rozstrzygnięcie nie jest dla nich korzystne. Jeśli jednak system odczytywany jest powszechnie jako narzędzie cudzych interesów, koszt jego utrzymania rośnie. Każdy spór staje się wówczas dowodem hipokryzji, a alternatywne instytucje zyskują na atrakcyjności – niekoniecznie dzięki lepszym normom, lecz możliwości skuteczniejszego negocjowania własnej pozycji. Mechanizmy polityki tożsamościowej działają analogicznie również w relacjach między państwami. Państwo może definiować się jako przedstawiciel Zachodu, świata arabskiego, Afryki, cywilizacji chińskiej, narodu postkolonialnego czy mocarstwa eurazjatyckiego. Każda taka autodefinicja tworzy katalog naturalnych sojuszników, historycznych krzywd i wyobrażonych wrogów.

Tożsamość zbiorowa zawęża zatem zbiór politycznie akceptowalnych decyzji, nawet jeśli ekonomicznie możliwe byłyby inne rozwiązania. Najgroźniejszy moment następuje jednak wtedy, gdy tożsamość zostaje zredukowana do jednej przynależności. Człowiek jest przecież jednocześnie obywatelem, członkiem rodziny, pracownikiem, mieszkańcem regionu, użytkownikiem języka, osobą wierzącą lub niewierzącą, przedstawicielem pokolenia i uczestnikiem wielu innych wspólnot. Polityka radykalna dąży do uproszczenia tej wielości.

Wybiera jeden wymiar i narzuca narrację: przede wszystkim jesteś Serbem, muzułmaninem, Hindusem, Rosjaninem, białym, migrantem, patriotą albo zdrajcą. Kiedy jedna etykieta zaczyna dominować nad wszystkimi pozostałymi, przestrzeń kompromisu dramatycznie się zwęża. To wyjaśnia gwałtowność konfliktów tożsamościowych. Spór ekonomiczny dotyczy tego, co posiadamy; spór tożsamościowy – tego, kim jesteśmy. W pierwszym przypadku można podzielić korzyść. W drugim kompromis może zostać odebrany jako utrata części siebie. Nacjonalizm, religijny fundamentalizm i skrajna polityka etniczna potrafią zatem mobilizować ludzi do ponoszenia kosztów, które z perspektywy czysto materialnej wydają się absurdalne. Andrews w sposób najbardziej przekonujący koryguje liberalny optymizm końca XX wieku: globalizacja nie stworzyła człowieka posthistorycznego.

Zamożniejszy człowiek nadal potrzebuje uznania. Wykształcony może pozostać nacjonalistą. Użytkownik globalnej technologii wciąż może wierzyć w świętość lokalnego miejsca. Konsument

kupujący te same produkty co ludzie po drugiej stronie świata nie musi dzielić ich wyobrażenia o sprawiedliwości, państwie ani historii.

Erozja monopolu państwa w starciu z aktorami niepaństwowymi

Z tego samego powodu Huntington nie może być jednak ostatnim słowem. Jeśli uznamy cywilizacje za byty szczelne i skazane na konflikt, zaczniemy organizować rzeczywistość zgodnie z tą prognozą. Teoria może stać się performatywna: polityk przekonany, że druga cywilizacja jest naturalnym przeciwnikiem, będzie interpretował neutralne działania jako wrogie, budował bariery i redukował kontakty, produkując w ten sposób warunki potwierdzające własne założenia. Fatalizm cywilizacyjny może więc działać podobnie jak pułapka Tukidydesa – strach przed konfliktem pomaga stworzyć konflikt, którego się obawiano. Najciekawsza synteza obu autorów znajduje się zatem w przestrzeni pomiędzy końcem historii a zderzeniem cywilizacji.

Fukuyama miał rację, że nowoczesne społeczeństwa potrzebują uniwersalnego języka godności i politycznego uznania. Huntington miał rację, że ludzie nie stają się przez to kulturowo bezdomni. Liberalny uniwersalizm nie usuwa partykularnych wspólnot, a te z kolei nie muszą automatycznie prowadzić do wojny. Problem pojawia się wtedy, gdy uniwersalne instytucje nie potrafią zapewnić wystarczającego uznania różnym grupom lub gdy grupy zaczynają uważać własną odrębność za możliwą do zachowania wyłącznie poprzez dominację nad innymi.

Polityka przyszłości będzie prawdopodobnie walką nie tylko o zasoby, lecz o definicje. Kto jest narodem? Kto należy do wspólnoty? Czym jest Zachód? Czy istnieje wspólny interes Globalnego Południa? Czy religia jest sprawą prywatną, czy fundamentem ładu? Czy migranta można włączyć w narodowe „my”? Czy państwo może być wielokulturowe i jednocześnie zachować wystarczającą ʿasabijję, aby jego mieszkańcy ponosili wzajemnie koszty własnego bezpieczeństwa? Odpowiedzi na te pytania zdecydują o sile państw niemal równie mocno, co wielkość ich armii.

Wspólnota niezdolna zdefiniować własnego „my” może mieć trudność z mobilizacją. Wspólnota definiująca je zbyt wąsko ryzykuje nieustannym produkowaniem wewnętrznych wrogów. Jedna z nich naraża się na rozpad solidarności, druga na przemoc wykluczenia. Dojrzałe państwo musi poruszać się pomiędzy tymi skrajnościami. W świecie tożsamości coraz trudniej zakładać, że państwo pozostanie jedynym podmiotem zdolnym mobilizować lojalność i przemoc. Religia może tworzyć wspólnotę ponad granicami, kartel kontrolować terytorium, a korporacja technologiczna posiadać informacje o miliardach ludzi.

Organizacja terrorystyczna może przekształcić narrację w globalną sieć rekrutacyjną, a grupa hakerów zadać państwu straty bez wystawiania armii. Jeśli wcześniejsza geopolityka pytała przede wszystkim o rywalizację państw, świat Andrewsa zmusza do rozszerzenia pola widzenia: co dzieje się z suwerennością, gdy aktor niepaństwowy zdobywa funkcje i narzędzia, które dawniej były niemal wyłącznym monopolem państwa? Państwo przestaje być jedynym graczem. Wchodzimy w erę asymetrii i prywatyzacja sprawczości.

Nowoczesne państwo przyzwyczaiło nauki polityczne do szczególnej mapy świata. Terytorium posiadało granice, granice miały strażników, rząd dysponował administracją, armia podlegała państwu, a dyplomacja odbywała się między uznanymi podmiotami prawa międzynarodowego. Wojna oznaczała starcie państw lub przynajmniej zorganizowanych sił walczących o ich przejęcie. Pokój zawierano traktatem, władzę utożsamiano z instytucją, a suwerenność z kontrolą określonej przestrzeni.

Świat Andrewsa coraz mniej przypomina ten westfalski diagram. Nie dlatego, że państwa przestały mieć znaczenie, lecz ponieważ coraz więcej podmiotów przejmuje fragmenty zdolności, które wcześniej stanowiły wyłączny repertuar państwowej sprawczości. Organizacja terrorystyczna może kontrolować terytorium, kartel narzucać lokalny porządek, prywatna firma wojskowa prowadzić działania zbrojne, platforma technologiczna kształtować obieg informacji, a niewielka grupa wyposażona w tanią technologię zakłócić funkcjonowanie infrastruktury kosztującej miliardy. Klasyczna definicja państwa odwołuje się do monopolu na prawomocne użycie przemocy na określonym terytorium. Współczesność nie tyle unieważnia tę kategorię, co pokazuje, że monopol ten bywa stopniowalny.

Państwo może istnieć formalnie i być członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych, a jednocześnie nie posiadać pełnej kontroli nad częścią własnego terytorium. Może dysponować armią i policją, lecz konkurować lokalnie z grupą, która pobiera daniny, wymusza posłuszeństwo, rozstrzyga spory i decyduje o tym, kto może prowadzić działalność gospodarczą.

Funkcjonalne rozszczepienie suwerenności przez aktorów niepaństwowych

Suwerenność nie znika w takim przypadku całkowicie, lecz ulega rozszczepieniu. Aktor niepaństwowy staje się istotny z perspektywy geopolitycznej nie wtedy, gdy po prostu łamie prawo, ale gdy zaczyna przejmować funkcje państwowe. Sama przestępczość nie jest nowym zjawiskiem; nowa jakość pojawia się w momencie, gdy organizacja przestępcza wyrasta na alternatywne

centrum władzy. Gang może kraść, lecz kartel potrafi kontrolować drogi, finansować lokalne sieci klientelistyczne, wpływać na wyniki wyborów, korumpować policję, wymuszać podatki ochronne, regulować handel oraz dysponować własnym wywiadem i aparatem przemocy. Granica między przestępczością a polityką zaczyna się zacierać, ponieważ przemoc nie służy już jedynie osiąganiu nielegalnego zysku, lecz budowie trwałej struktury dominacji. Teoria Andrewsa posługuje się w tym kontekście pojęciem „narco-kleptokracji", wskazując na zdolność karteli w Ameryce Łacińskiej do przejmowania funkcji państwa oraz oddziaływania na migracje i łańcuchy dostaw. Handel narkotykami pozostaje jednym z głównych źródeł dochodu zorganizowanej przestępczości, a rywalizacja o kontrolę nad rynkami i szlakami przemytu generuje w wielu regionach gwałtowną przemoc.

Nie oznacza to oczywiście, że każde państwo dotknięte przemytem staje się „narco-państwem". Kluczowa jest skala penetracji instytucjonalnej: moment, w którym nielegalna gospodarka przestaje współistnieć z państwem, a zaczyna determinować sposób jego działania. Przestępczość zorganizowana posiada przy tym szczególną przewagę nad klasycznym przeciwnikiem politycznym.

Nie zawsze dąży ona do zniszczenia państwa. Często wręcz potrzebuje jego istnienia, lecz w formie selektywnej. Kartel potrzebuje dróg, banków, portów, telefonii, prawa własności, przedsiębiorstw i granic, ale jednocześnie wymaga słabej kontroli tam, gdzie prowadzony jest nielegalny biznes. Doskonałe państwo byłoby dla niego zagrożeniem, natomiast państwo całkowicie upadłe mogłoby okazać się gospodarczo bezużyteczne. Optymalna staje się więc korupcyjna strefa pośrednia: wystarczająco dużo państwowości, by istniała infrastruktura, lecz za mało, by egzekwowano reguły.

Kartel może być zatem raczej pasożytem instytucjonalnym niż rewolucją. Nie musi przejmować parlamentu; wystarczy mu możliwość kupienia odpowiedniej liczby funkcjonariuszy, polityków i urzędników. Jego model władzy nie polega na zastąpieniu państwa własną konstytucją, lecz na przekształceniu części państwa w usługę. Korupcja staje się wtedy szczególną formą prywatyzacji suwerenności: publiczne kompetencje pozostają formalnie państwowe, jednak ich realne użycie zostaje podporządkowane prywatnemu interesowi.

Inaczej działa organizacja terrorystyczna aspirująca do stworzenia własnego porządku politycznego. Al-Kaida reprezentowała przede wszystkim model rozproszonej sieci, łączącej ideologię, terror i ponadnarodową rekrutację. Państwo Islamskie poszło znacznie dalej, próbując przekształcić organizację w strukturę quasi-państwową. Kontrola terytorium pozwalała na pobieranie opłat, narzucanie norm, organizowanie administracji oraz prowadzenie propagandy państwowości, co czyniło z przemocy nie serię zamachów, lecz instrument budowy alternatywnego ładu. To właśnie ta zdolność do połączenia ideologii z przestrzenią odróżniała ISIS od klasycznej organizacji terrorystycznej. Klęska terytorialnego „kalifatu" nie oznaczała jednak likwidacji

problemu. Sieć może stracić miasto, lecz zachować ideę, kapitał, kompetencje i zdolność adaptacji. Organizacja niepaństwowa dysponuje tu przewagą elastyczności: państwo jest przywiązane do terytorium, stolicy i symboli, podczas gdy sieć może się rozproszyć. Może zejść do podziemia, przemieścić ludzi, zmienić nazwę, rozbić się na odłamy lub przenieść propagandę do internetu, wiążąc się z lokalnymi konfliktami.

Nie jest więc przypadkiem, że system sankcyjny Rady Bezpieczeństwa wobec ISIS i Al-Kaidy pozostaje aktywny także w 2026 roku. Lista sankcyjna aktualizowana 8 lipca 2026 roku obejmowała 249 osób oraz 88 podmiotów, co dowodzi trwałości sieciowego wymiaru zagrożenia długo po utracie zdobyczy terytorialnych. W lipcu 2026 roku przedstawiciele ONZ nadal określali zagrożenie ze strony ugrupowań terrorystycznych i innych niepaństwowych grup zbrojnych jako poważne, wskazując szczególnie na Sahel i północną Nigerię. To właśnie Sahel ujawnia błędność prostego podziału świata na państwa i przestrzenie bezpaństwowe. Problemem nie jest brak państwa w sensie formalnym, lecz konkurencja kilku porządków w obrębie tej samej przestrzeni. Administracja centralna może posiadać uznanie międzynarodowe, podczas gdy lokalna grupa zbrojna ma większą zdolność egzekwowania norm w konkretnej wiosce. Państwo może kontrolować stolicę, lecz nie drogę łączącą dwa regiony. Armia może przeprowadzać operację, lecz grupa niepaństwowa wraca po jej zakończeniu. Władza przestaje przypominać jednolitą warstwę pokrywającą terytorium. Staje się archipelagiem.

Asymetria celów i lęku jako narzędzie destabilizacji państwa

W takim środowisku klasyczna przewaga militarna traci na znaczeniu. Państwo może wygrywać każdą regularną bitwę i mimo to przegrać cały konflikt. Przeciwnik asymetryczny nie potrzebuje zwycięstwa rozumianego jako zdobycie stolicy; dla niego sukcesem może być samo przetrwanie. Jeśli celem wielkiej armii jest likwidacja organizacji, a celem tej drugiej – uniknięcie unicestwienia, każda kolejna rocznica jej istnienia zyskuje wartość propagandową. Czas staje się bronią słabszego.

Asymetria nie oznacza jedynie różnicy w liczebności, lecz przede wszystkim różnicę funkcji celu. Państwo dąży do przywrócenia normalności, podczas gdy grupa zbrojna może chcieć sprawić, by ta normalność stała się niemożliwa. Państwo musi chronić ogromną liczbę potencjalnych celów; napastnik wybiera jeden. Państwo musi funkcjonować każdego dnia; terrorysta potrzebuje sukcesu jedynie od czasu do czasu. Podczas gdy państwo jest oceniane przez pryzmat bezpieczeństwa całego systemu, organizacja niepaństwowa może zmienić społeczną percepcję tego bezpieczeństwa jednym spektakularnym działaniem.

Terroryzm jest technologią politycznej asymetrii. Fizyczne zniszczenie bywa tu jedynie nośnikiem komunikatu. Atak ma nie tylko zabijać lub niszczyć, ale przede wszystkim zmienić zachowanie milionów ludzi, sprowokować państwo do kosztownej reakcji, pogłębić antagonizmy społeczne, wymusić restrykcje lub stworzyć wrażenie wszechobecności organizacji. Najsilniejszy efekt zamachu często następuje daleko od miejsca eksplozji – w decyzjach parlamentów, na lotniskach, w kampaniach wyborczych i w społecznej wyobraźni. Władza asymetryczna polega na umiejętności zmuszania silniejszego do tego, by sam powiększył skutki ataku.

Państwo sparaliżowane lękiem może przyjąć rozwiązania ograniczające wolność i polaryzujące społeczeństwo, co jedynie wzmacnia narrację sprawcy o represyjnym przeciwniku. Organizacja o relatywnie niewielkich zasobach jest w stanie sprowokować państwo do wydania ogromnych środków, rozpoczęcia długotrwałej wojny lub podjęcia decyzji podważającej jego własną legitymizację. W ten sposób najsłabszy aktor próbuje sterować zachowaniem najsilniejszego poprzez kontrolę jego lęku. Doświadczenia z Afganistanu, Iraku, Syrii i Sahelu pokazały, że przewaga technologiczna nie rozwiązuje problemów politycznej rekonstrukcji. Można zniszczyć bazę, ale znacznie trudniej zniszczyć powód, dla którego kolejna grupa ludzi chce ją odbudować. Można usunąć przywódcę, lecz jego miejsce zajmie następca. Można pokonać oddział, jednak jeśli państwo po jego odejściu nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa, administracji, sądów i minimalnych perspektyw ekonomicznych, powstała próżnia zostanie ponownie zagospodarowana. W tym miejscu powraca podstawowa intuicja Ibn Chalduna.

Grupa niepaństwowa nie potrzebuje formalnego uznania, jeśli dysponuje lokalną ʿasabijją silniejszą od lojalności wobec odległego państwa. Człowiek może formalnie być obywatelem republiki, a w rzeczywistości polegać na klanie, organizacji religijnej, lokalnej milicji lub sieci przestępczej, ponieważ to one zapewniają mu realną ochronę. Państwowość przegrywa wtedy nie na poziomie konstytucji, lecz codziennego doświadczenia. Paradoks jest jeszcze głębszy: grupa zbrojna może jednocześnie niszczyć państwo i wykorzystywać jego brak do legitymizowania własnego istnienia. Im słabsza administracja, tym bardziej potrzebny staje się alternatywny porządek; im silniejszy ten porządek, tym trudniej państwu odbudować swoją obecność. Tworzy się samowzmacniający mechanizm utraty suwerenności.

Realizm w negocjacjach z aktorami niepaństwowymi

Kolumbia stanowi pod tym względem szczególnie pouczający przypadek, ukazując zarówno możliwości negocjacji, jak i ich granice. Porozumienie pokojowe z FARC z 2016 roku służy Andrewsowi za dowód, że konfliktów ideologicznych i rebelii nie zawsze da się zakończyć samą

przewagą militarną. Dekadę później ONZ wciąż traktuje implementację tego układu jako proces otwarty, wskazując jednocześnie na przemoc innych nielegalnych grup zbrojnych oraz zagrożenia dla ludności i byłych kombatantów. Podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa w kwietniu 2026 roku zwracano uwagę, że grupy zbrojne kontrolują znaczną część kolumbijskich gmin; dowodzi to, że wygaszenie jednego konfliktu nie usuwa automatycznie strukturalnych warunków sprzyjających powstawaniu kolejnych organizacji zbrojnych.

Jest to istotna korekta romantycznej wizji pokoju jako momentu podpisania dokumentu. Traktat może zakończyć walki z konkretnym przeciwnikiem, ale nie musi usunąć ekonomii przemocy. Jeśli na danym terytorium nadal funkcjonują nielegalne rynki, administracja jest słaba, a finansowanie struktur zbrojnych łatwe, przy jednoczesnej marginalizacji społecznej i braku bezpieczeństwa – konkretna organizacja może zniknąć, lecz funkcja, którą pełniła, pozostanie. Wolną przestrzeń zajmie po prostu inny aktor.

Pokój nie jest przeciwieństwem wojny w sensie czysto militarnym. To zdolność państwa i społeczeństwa do wypracowania porządku, w którym przemoc przestaje być opłacalną metodą organizacji politycznej i ekonomicznej. Właśnie dlatego rozbrojenie bez instytucji jest kruche, a negocjacje bez odbudowy państwa mogą jedynie zmienić nazwę przyszłego konfliktu. Tu dochodzimy do jednego z najbardziej prowokacyjnych elementów Realpolitik Andrewsa: konieczności rozmowy z wrogiem. W kategoriach moralnych negocjowanie z organizacją odpowiedzialną za przemoc może jawić się jako jej nagradzanie.

W języku politycznym odmowa dialogu może jednak oznaczać zgodę na jego nieskończone trwanie. Powstaje konflikt między sprawiedliwością a pragnieniem zakończenia cierpienia, między karą za przeszłość a ograniczeniem przemocy w przyszłości. Przywoływana przez Andrewsa intuicja Desmonda Tutu celnie ujmuje ten paradoks: pokój negocjuje się właśnie z przeciwnikiem, ponieważ z przyjacielem nie trzeba kończyć wojny. Zasada ta nie nakłada obowiązku rozmów w każdym momencie ani uznania wszystkich żądań strony zbrojnej. Oznacza coś bardziej niewygodnego: legitymizacja rozmów i legitymizacja działań rozmówcy są dwiema różnymi rzeczami. Państwo może uznać konieczność negocjacji z organizacją, której metod i celów nadal nie uznaje za prawomocne. Dyplomacja staje się wtedy sztuką oddzielania uznania faktu od uznania racji.

Aktor istnieje, dysponuje siłą, kontroluje ludzi lub terytorium i może uniemożliwiać pokój – to wystarczy, by stał się elementem rachunku politycznego. Realizm nie wymaga aprobaty; wymaga jedynie przyznania, że świat nie przestaje istnieć tylko dlatego, że jego część jest moralnie odrażająca.

Tak wielokrotnie działała dyplomacja mocarstw. Państwa rozmawiały z przeciwnikami, których oficjalnie potępiały, wymieniały jeńców w czasie wojny, zawierały rozejmy z rebeliantami, negocjowały z reżimami represyjnymi, a nawet współpracowały z ideologicznymi wrogami przeciwko jeszcze groźniejszemu przeciwnikowi. Kissingerowska Realpolitik opiera się na przekonaniu, że polityka zagraniczna nie może być konkursem moralnej czystości, gdyż obowiązkiem państwa jest również ograniczanie katastrofalnych rezultatów. Nie oznacza to jednak, że negocjacje zawsze są rozsądne. Rozmowa może dać przeciwnikowi czas, prestiż, możliwość reorganizacji i polityczną legitymizację.

Zawieszenie broni bywa wykorzystane do dozbrojenia, a ustępstwo może stać się zachętą do przyszłej przemocy. Problem Realpolitik nie znika więc dzięki prostemu sloganowi o konieczności rozmów. Prawdziwe pytanie brzmi: kiedy koszt negocjacji staje się niższy od kosztu dalszej przemocy i czy istnieje mechanizm pozwalający zweryfikować wykonanie porozumienia.

Dyplomacja wobec aktorów niepaństwowych jest jeszcze bardziej wymagająca niż klasyczna dyplomacja państwowa. Państwo posiada instytucje, hierarchię, stabilne kierownictwo i formalną zdolność zaciągania zobowiązań. Sieć zbrojna bywa natomiast rozbita na frakcje. Przywódca negocjujący pokój może nie kontrolować wszystkich dowódców, a radykalne skrzydło może sabotować porozumienie, by udowodnić, że umiarkowani nie mają prawa reprezentować organizacji. Jeden zamach potrafi zniszczyć miesiące negocjacji. Fragmentacja jest jednocześnie siłą i słabością aktora niepaństwowego: utrudnia jego całkowite zniszczenie, gdyż brakuje jednego centralnego punktu, którego utrata zakończyłaby konflikt, ale utrudnia również zawarcie pokoju, bo nie zawsze istnieje ośrodek zdolny zagwarantować jego przestrzeganie. Technologia dodatkowo obniża próg wejścia do gry geopolitycznej; dawniej potężne oddziaływanie na infrastrukturę wymagało zazwyczaj dużej organizacji, ciężkiego uzbrojenia i znaczącego zaplecza finansowego.

Erozja monopolu państwa na narzędzia oddziaływania strategicznego

Dziś relatywnie tanie drony, komercyjna łączność satelitarna, oprogramowanie, otwarte dane, sztuczna inteligencja i komponenty dostępne na rynku cywilnym pozwalają małym grupom uzyskać możliwości wcześniej zarezerwowane dla zaawansowanych państw. ONZ zwraca już uwagę na ten proces w odniesieniu do bezzałogowych systemów powietrznych. Globalny raport UNOCT poświęcony użyciu dronów przez niepaństwowe grupy zbrojne analizuje ich pozyskiwanie, uzbrajanie i wykorzystywanie do celów terrorystycznych. Znaczenie tej technologii polega nie tylko na skuteczności pojedynczego urządzenia, lecz na zmianie ekonomiki przemocy. Jeżeli platforma

kosztująca relatywnie niewiele może zagrozić celowi wielokrotnie droższemu, obrona musi rozwiązać problem asymetrii kosztowej.

To samo dotyczy cyberprzestrzeni, choć pełną analizę tego zagadnienia należy pozostawić dla kolejnej części. Najważniejsza zmiana ma charakter strukturalny: zdolność wyrządzenia znaczącej szkody coraz słabiej koreluje z wielkością organizacji. W epoce przemysłowej potęga wymagała ogromnych fabryk, armii i bazy surowcowej. W epoce cyfrowej niektóre rodzaje potęgi można skupić w małym zespole posiadającym specjalistyczne kompetencje. Nie oznacza to końca państwa. Państwo nadal dysponuje przewagą, której trudno dorównać: może legalnie pobierać podatki, mobilizować zasoby całej gospodarki, tworzyć prawo, prowadzić dyplomację, utrzymywać armię, zawierać traktaty i budować instytucje przez dziesięciolecia. Problem polega raczej na tym, że nie musi już posiadać pełnego monopolu na narzędzia oddziaływania strategicznego. Tak jak druk odebrał elitom monopol na rozpowszechnianie tekstu, technologie cyfrowe odbierają państwom część monopolu na informację, obserwację, komunikację i niektóre formy przemocy.

Wraz z tym procesem zmienia się również znaczenie korporacji. Nie są one organizacjami zbrojnymi, a ich cele pozostają przede wszystkim gospodarcze, lecz część globalnych przedsiębiorstw technologicznych kontroluje infrastrukturę informacyjną wykorzystywaną przez setki milionów lub miliardy ludzi. Decyzja dotycząca moderacji treści, dostępu do sieci, infrastruktury satelitarnej, przechowywania danych albo działania algorytmu może mieć konsekwencje polityczne przekraczające możliwości wielu państw średniej wielkości. Jest to nowa postać władzy prywatnej. Korporacja nie potrzebuje suwerenności terytorialnej, aby kształtować przestrzeń publiczną. Nie ma obywateli, ale posiada użytkowników. Nie posiada granic, lecz posiada regulamin. Nie prowadzi formalnej polityki zagranicznej, lecz jej decyzje mogą wpływać na dostęp do informacji w wielu jurysdykcjach. Nie posiada parlamentu demokratycznego, a mimo to może określać reguły komunikacji dla społeczności większej niż populacja większości państw świata. Nie oznacza to, że przedsiębiorstwo staje się państwem. Oznacza natomiast, że aparat pojęciowy geopolityki musi nauczyć się widzieć sprawczość poza klasyczną suwerennością. Podmiot może nie posiadać terytorium, a posiadać władzę nad przepływem. Może nie posiadać armii, a wpływać na konflikt. Może nie tworzyć prawa publicznego, a ustanawiać prywatne normy o globalnym zasięgu. Władza XXI wieku coraz częściej organizuje się wokół kontroli infrastruktury, danych, standardów i sieci, a nie wyłącznie ziemi.

Andrewsowscy aktorzy niepaństwowi nie są jedną kategorią. Łączy ich nie wspólny cel, lecz wspólna cecha: zdolność osiągania politycznie istotnych skutków bez pełnego zestawu tradycyjnych atrybutów państwa. Terrorysta wykorzystuje asymetrię strachu. Kartel asymetrię korupcji i przemocy. Rebeliant lokalną ʿasabijję. Firma technologiczna skalę sieci. Haker asymetrię

kompetencji. Prywatny podmiot wojskowy możliwość świadczenia przemocy jako usługi. Każdy z nich zajmuje inną szczelinę pozostawioną przez system państwowy.

Nowe zagrożenia i rozproszona natura współczesnej siły

Tu przydaje się Rumsfeldowska kategoria "unknown unknowns", choć jej polityczna biografia związana z wojną w Iraku powinna skłaniać do ironicznej ostrożności. Andrews wykorzystuje ją jako symbol zagrożeń, których nie umiemy jeszcze umieścić w istniejącym katalogu – zwłaszcza tych mogących wyłonić się z gwałtownego rozwoju sztucznej inteligencji. Istota problemu nie polega na tym, że przyszłości nie znamy; to banał. Chodzi o to, że systemy bezpieczeństwa buduje się najczęściej w oparciu o doświadczenia z poprzedniego kryzysu, podczas gdy technologia może zmienić samą kategorię przeciwnika.

Najbardziej niebezpiecznym aktorem przyszłości może więc nie być państwo, organizacja terrorystyczna ani klasyczny kartel w postaci, którą znamy dzisiaj. Może to być sieć łącząca kapitał przestępczy, autonomiczne systemy, sztuczną inteligencję i cyberzdolności, prowadząca działalność równocześnie w wielu jurysdykcjach. Granice między przestępczością, wojną, sabotażem, propagandą a biznesem mogą stać się jeszcze mniej czytelne.

Wówczas szczególną wartość zyska atrybucja. Państwo atakowane przez regularną armię wie przynajmniej, kogo może odstraszać. Jeśli jednak szkoda zostaje wyrządzona przez rozproszoną sieć, grupę sponsorowaną potajemnie przez państwo lub aktora wykorzystującego infrastrukturę w kilku krajach, pierwszym problemem staje się ustalenie odpowiedzialności. Bez niej trudniej zastosować mechanizm odstraszania – jeśli nie wiadomo, kto uderzył, nie wiadomo również, komu zagrozić konsekwencjami.

To prowadzi do paradoksu przyszłej potęgi: im bardziej precyzyjne stają się niektóre narzędzia oddziaływania, tym mniej precyzyjna może być odpowiedź na pytanie, kto właściwie ich użył. Broń staje się inteligentniejsza, a polityczna odpowiedzialność bardziej zamglona. Siła może być delegowana, ukrywana i wypierana; państwo może korzystać z aktora niepaństwowego właśnie dlatego, że pozwala on wpływać na rzeczywistość bez pełnego kosztu formalnego zaangażowania.

W takim świecie suwerenność nie umiera, lecz staje się zadaniem znacznie trudniejszym. Nie wystarczy kontrolować granicy, skoro atak może przyjść przez sieć. Nie wystarczy posiadać silniejszej armii, skoro przeciwnik unika regularnej bitwy. Nie wystarczy aresztować przywódcę,

skoro organizacja działa sieciowo, ani zakazać produktu, skoro przepływy finansowe i technologiczne mogą ominąć zakazy poprzez inną jurysdykcję.

Państwo przyszłości będzie więc mierzone nie tylko ilością posiadanej siły, ale zdolnością integrowania jej różnych rodzajów. Armia bez wywiadu może nie znaleźć przeciwnika, wywiad bez technologii – nie zobaczyć go, a technologia bez prawa może naruszyć własną legitymizację. Prawo pozbawione zdolności wykonawczych pozostanie jedynie deklaracją. Dyplomacja bez siły zostanie zignorowana, zaś siła bez dyplomacji ugrzęźnie w wojnie, której nie potrafi politycznie zakończyć.

Aktorzy niepaństwowi prowadzą nas bezpośrednio do anatomii współczesnej potęgi. Skoro mała organizacja może dzięki technologii wywołać skutek większy, niż sugerowałaby jej materialna wielkość, a mocarstwo z ogromną armią może jednocześnie przegrywać walkę o społeczną percepcję, samo pojęcie "siły" musi zostać rozłożone na części. Lufa karabinu pozostaje istotna, lecz nie każda władza wyrasta dziś wyłącznie z lufy. Czasem wyrasta z uniwersytetu, ekranu, algorytmu, serwera, waluty, satelity albo zdolności sprawienia, że przeciwnik dobrowolnie wybierze zachowanie zgodne z naszym interesem.

Pytanie nie brzmi już: kto jest silny? Brzmi raczej: z czego współczesna siła właściwie się składa? Odpowiedź Andrewsa prowadzi do trzech nakładających się wymiarów potęgi – hard power, soft power i cyber power – których granice coraz częściej się zacierają. Władza jest jednym z tych pojęć, które wydają się oczywiste dopóty, dopóki nie spróbujemy ich precyzyjnie zdefiniować.

Państwo posiadające większą armię może być silniejsze od tego z mniejszym potencjałem militarnym, ale samo porównanie liczby żołnierzy niewiele mówi o zdolności osiągania celów politycznych. Podobnie bogate społeczeństwo może dysponować ogromnymi zasobami, lecz nie potrafić ich skutecznie zmobilizować.

Potęga jako zdolność konwersji zasobów w skutek

Kraj posiadający broń jądrową może skutecznie odstraszać przeciwnika, lecz niekoniecznie zmusić go do zmiany polityki handlowej. Z kolei państwo o stosunkowo niewielkich możliwościach militarnych bywa w stanie wywierać wpływ większy, niż sugerowałby jego budżet obronny — dzieje się tak, gdy inni chcą korzystać z jego kultury, języka, edukacji, technologii lub instytucji. Władza nie jest więc zasobem leżącym w magazynie. Jest zdolnością przekształcania zasobów w zachowanie innych.

Ta różnica między posiadaniem a konwersją potęgi jest kluczowa dla zrozumienia Andrewsa. Czołg sam w sobie jest zasobem; potęga ujawnia się dopiero wtedy, gdy jego istnienie albo użycie zmienia

kalkulację przeciwnika. Uniwersytet z kolei jest instytucją edukacyjną, która staje się instrumentem soft power w momencie, gdy wykształcony w nim przyszły polityk, naukowiec lub przedsiębiorca zachowuje szczególną intelektualną więź z krajem, który umożliwił mu rozwój. Podobnie sieć komputerowa jest infrastrukturą, lecz staje się narzędziem geopolitycznym wtedy, gdy pozwala zdobyć informację, sparaliżować urządzenie, zakłócić proces przemysłowy albo podważyć zaufanie społeczne. Władza jest zatem relacją między zdolnością a skutkiem.

Klasyczne rozróżnienie pomiędzy hard power i soft power nie powinno być interpretowane jako podział na władzę "prawdziwą" i "symboliczną". Obie są realne, lecz operują za pomocą odmiennych mechanizmów. Hard power zmienia zachowanie poprzez koszt; soft power zmienia preferencje poprzez atrakcyjność. Pierwsza mówi: zrób to, ponieważ odmowa będzie dla ciebie zbyt droga. Druga sugeruje: zrób to, ponieważ sam zaczynasz uważać ten wybór za właściwy, korzystny albo pożądany.

Cyber power może natomiast działać w obu kierunkach: potrafi niszczyć i przymuszać, ale może też kształtować percepcję i informację. Dlatego jest nie tyle trzecią szufladą w katalogu potęgi, ile technologicznym wymiarem przenikającym pozostałe. Hard power pozostaje najbardziej intuicyjną formą władzy, której rdzeniem jest zdolność narzucenia kosztu — niezależnie od tego, czy ma on charakter wojskowy, gospodarczy, technologiczny, czy finansowy. Armia może zająć terytorium, flota zablokować port, a państwo dominujące na rynku strategicznego komponentu może ograniczyć jego eksport; podobnie duża gospodarka może wykorzystać dostęp do własnego rynku jako instrument negocjacyjny. W każdym z tych przypadków przeciwnik nie musi zostać przekonany do naszych wartości — ma jedynie dojść do wniosku, że opór jest droższy niż ustępstwo.

Mao Zedong ujmował tę logikę z brutalną prostotą, wiążąc władzę polityczną z lufą karabinu. Andrews nie interpretuje tego zdania jako pełnej teorii polityki, lecz jako przypomnienie jej granicznego fundamentu. Państwo może budować prestiż przez kulturę, negocjować traktaty i organizować instytucje wielostronne, ale w sytuacji egzystencjalnej zawsze powraca pytanie o zdolność ochrony własnego terytorium, infrastruktury i ludności. Soft power może sprawić, że inni będą chcieli być naszymi partnerami.

Twarda siła jako system zależności ekonomicznych

Nie zatrzyma ona jednak samodzielnie armii przekraczającej granicę. Współczesna skala wydatków wojskowych dowodzi, że państwa nie uznały tej logiki za historycznie przezwyciężoną. Według

SIPRI świat wydał w 2025 roku około 2,887 biliona dolarów na cele militarne, a realne nakłady rosną jedenasty rok z rzędu.

Stany Zjednoczone, Chiny i Rosja odpowiadały łącznie za ponad połowę globalnej wartości tych funduszy. Nawet w epoce sztucznej inteligencji, globalnych platform i cyfrowej komunikacji społeczeństwa przeznaczają gigantyczne zasoby na najbardziej klasyczną formę potęgi. Sama suma pieniędzy nie przesądza jednak o realnej zdolności militarnej. Budżet musi zostać przekształcony w sprawną organizację, produkcję, logistykę, wyszkolenie, rozpoznanie, zapasy, strukturę dowodzenia i morale. Wojna w Ukrainie przypomniała o znaczeniu czynnika, który w czasie pokoju skłania się do ignorowania: zdolności przemysłowej do odtwarzania zużywanej siły.

Nowoczesna armia potrzebuje nie tylko zaawansowanych systemów, ale przede wszystkim dostępu do amunicji, części, serwisu, energii i ludzi. Potęga wojskowa nie jest kolekcją efektownych platform, lecz systemem umożliwiającym ich długotrwałe użycie.

W tym miejscu twarda siła spotyka się z gospodarką. Państwo może posiadać znakomitą armię tylko tak długo, jak długo gospodarka potrafi ją finansować i zaopatrywać. Imperium przekraczające własną bazę ekonomiczną może przez pewien czas podtrzymywać przewagę dzięki zgromadzonemu kapitałowi, lecz w dłuższej perspektywie rachunek zawsze wraca. Glubbowski cykl imperialny można zatem odczytać jako historię narastającej różnicy pomiędzy rozmiarem zobowiązań a zdolnością ich finansowania.

Hard power obejmuje również nacisk ekonomiczny. Sankcje, embarga, zamrożenie aktywów, ograniczenie eksportu technologii czy odmowa dostępu do strategicznego rynku są formami przymusu równie politycznymi, co obecność okrętu wojennego, choć działają wolniej i mniej spektakularnie. Ich zaletą jest możliwość wywierania presji poniżej progu wojny. Słabością pozostaje jednak zależność od asymetrii: sankcja jest skuteczna przede wszystkim wtedy, gdy podmiot ją nakładający kontroluje zasób niezbędny przeciwnikowi do funkcjonowania, a sam może stosunkowo łatwo zrezygnować z danej relacji.

W ten sposób gospodarcza współzależność może stać się arsenałem. System finansowy, technologia, rynek, surowiec albo infrastruktura transportowa mogą pełnić rolę „karabinu”, choć nie w sensie dosłownym. Państwo kontrolujące strategiczny węzeł może zmusić przeciwnika do zmiany zachowania bez oddania jednego strzału. Tak rozumiana hard power jest szersza niż potęga militarna; jej istotą jest możliwość wiarygodnego narzucenia kosztu.

Jednocześnie każdy przymus ma swoją cenę dla stosującego go podmiotu. Sankcje mogą skłaniać przeciwnika do budowania alternatywnych kanałów finansowych, a ograniczenia technologiczne przyspieszać programy samowystarczalności. Nadmierne wykorzystywanie uprzywilejowanej

pozycji gospodarczej zachęca partnerów do dywersyfikacji. Im częściej państwo używa zależności jako broni, tym bardziej inni zaczynają traktować samą zależność jako zagrożenie. Hard power posiada zatem paradoks samokonsumpcji: skuteczne wykorzystanie przewagi może uruchamiać mechanizmy, które tę przewagę w przyszłości zmniejszą.

Jeszcze poważniejszym ograniczeniem twardej siły jest problem legitymizacji. Można zmusić człowieka do posłuszeństwa, ale znacznie trudniej zmusić go do lojalności. Można okupować terytorium, lecz codzienne utrzymywanie posłuszeństwa milionów ludzi może kosztować więcej niż jego zdobycie. Można wymusić podpisanie dokumentu, ale niekoniecznie uzyskać społeczną akceptację dla jego wykonania.

Soft power jako zdolność kształtowania preferencji poprzez atrakcyjność

Tu kończy się logika karabinu i zaczyna logika atrakcyjności. Joseph Nye ukuł pojęcie soft power właśnie po to, aby opisać ten drugi mechanizm. W najbardziej syntetycznym ujęciu jest to zdolność wpływania na wybory innych poprzez atrakcyjność i współkształtowanie preferencji zamiast czystego przymusu. Nye wskazywał przy tym, że źródłem miękkiej siły mogą być nie tylko kultura i wartości, lecz także sposób prowadzenia polityki oraz wyniki osiągane przez dane społeczeństwo. Różnica jest zasadnicza.

Hard power wygrywa wtedy, gdy przeciwnik zachowuje się zgodnie z naszym życzeniem mimo braku chęci. Soft power odnosi sukces w momencie, gdy odbiorca przestaje postrzegać ten wybór jako cudze życzenie. Najdoskonalsza władza nie zawsze musi wydawać rozkaz; może stworzyć środowisko, w którym inni sami dochodzą do decyzji zgodnej z jej interesem. Kultura masowa jest klasycznym przykładem takiego oddziaływania. Andrews przypomina rolę zachodniej muzyki, filmu, mody, marek konsumpcyjnych i stylu życia w okresie zimnej wojny. Beatlesi, Rolling Stones, Bruce Springsteen, hip-hop, Coca-Cola czy dżinsy nie były instrumentami państwowej propagandy w ścisłym znaczeniu, a właśnie dlatego mogły oddziaływać wyjątkowo skutecznie. Régis Debray prowokacyjnie sugerował, że rock, wideo i niebieskie dżinsy posiadały większą zdolność przeobrażania społeczeństw niż Armia Czerwona. Sens tej maksymy nie polega na lekceważeniu czołgów, lecz na dostrzeżeniu, że człowiek porównuje systemy polityczne również poprzez wyobrażenia życia, jakie one oferują. Jeśli młody człowiek za żelazną kurtyną pragnął muzyki, ubrań, podróży i wolności kulturowej kojarzonych z Zachodem, nie trzeba było mu wykładać teorii konstytucjonalizmu. Konsumpcja mogła stać się nośnikiem politycznej metafory.

Soft power często działa najlepiej wtedy, gdy państwo nie kontroluje jej bezpośrednio. Hollywood jest wpływowe nie dlatego, że każdy film zatwierdza Departament Stanu. Uniwersytety przyciągają, ponieważ posiadają reputację miejsc swobodnych badań. Media międzynarodowe zdobywają zaufanie tylko wtedy, gdy odbiorca wierzy, że mogą one przekazać treści niewygodne dla własnego rządu. Kulturę można wspierać, ale próba całkowitego podporządkowania jej propagandzie może zniszczyć dokładnie tę właściwość, która czyni ją atrakcyjną. To prowadzi do jednego z największych paradoksów miękkiej siły: państwo może posiadać jej zasoby, których nie potrafi po prostu włączyć i wyłączyć. Uniwersytet pozostaje zasobem soft power tylko tak długo, jak długo jego reputacja wynika z rzeczywistej jakości badań i autonomii intelektualnej. Media są wartościowe jedynie wtedy, gdy odbiorca nie uważa ich za tubę rządu. Kultura przyciąga, dopóki nie wygląda jak kampania marketingowa ministerstwa.

Andrews kładzie szczególny nacisk na zachodnie uczelnie. Harvard, MIT, Oxford czy Cambridge to nie tylko instytucje produkujące wiedzę; one przyciągają elity z całego świata, tworzą sieci społeczne i pozwalają przyszłym przywódcom poznać określony model instytucjonalny, kształtując intelektualny język debaty międzynarodowej. Stypendium może w długiej perspektywie przynieść państwu wpływ trudniejszy do zmierzenia niż kontrakt zbrojeniowy, ale czasem bardziej trwały.

Nie ma tu jednak automatyzmu. Absolwent zachodniego uniwersytetu nie staje się z automatu liberałem ani sojusznikiem Zachodu. Edukacja daje kontakt z instytucją i kulturą, lecz nie gwarantuje politycznej lojalności. Soft power jest właśnie dlatego subtelna: zwiększa prawdopodobieństwo atrakcyjności, ale nie produkuje deterministycznego rezultatu.

Podobną rolę odgrywają instytucje językowe i kulturalne. British Council, Alliance française, Goethe-Institut czy międzynarodowe media publiczne od dziesięcioleci utrzymują globalną obecność państw, których bezpośrednia potęga imperialna uległa znaczącej redukcji. Francja może nie posiadać militarnej pozycji dawnego imperium, ale język francuski nadal tworzy sieć relacji politycznych i kulturowych. Wielka Brytania nie kontroluje już dawnych kolonii, lecz język angielski, uniwersytety, media i kultura wciąż zapewniają jej zdolność oddziaływania znacznie większą, niż wynikałoby to wyłącznie z rozmiaru terytorium.

Wiarygodność soft power i asymetria cyber power

Chiny doskonale rozpoznały znaczenie tej infrastruktury wpływu, rozwijając Instytuty Konfucjusza i inne instrumenty promocji języka oraz kultury. Andrews zwraca jednak uwagę na problem właściwy każdej państwowej strategii soft power: jeśli odbiorcy uznają daną instytucję za kanał politycznej kontroli lub propagandy, jej zdolność przyciągania słabnie. Nie wystarczy finansować

atrakcyjności; niezbędna jest wiarygodność. Soft power ma własną walutę: zaufanie. Jest ona trudna do zgromadzenia i niezwykle łatwa do roztrwonienia.

Państwo może przez dziesięciolecia budować obraz przewidywalnego partnera, by następnie jednym działaniem podważyć ten kapitał. Może głosić uniwersalne zasady, a jednocześnie stosować je selektywnie, dostarczając przeciwnikowi argumentów do oskarżeń o hipokryzję. Potęga normatywna jest tym silniejsza, im mniejszy jest rozdźwięk między deklarowanymi wartościami a realną praktyką.

Kryzys "ładu opartego na zasadach" jest w istocie kryzysem soft power. Mocarstwo może dysponować przewagą militarną pozwalającą narzucić określone rozwiązanie, lecz gdy coraz więcej państw zaczyna postrzegać jego język normatywny jako maskę dla partykularnych interesów, koszt utrzymania wpływów rośnie. Twarda siła musi wtedy przejąć pracę, którą wcześniej wykonywała legitymizacja. Można to ująć jeszcze ostrzej: hard power zmusza przeciwników, soft power pozyskuje partnerów. Mocarstwo dysponujące wyłącznie tą pierwszą musi płacić za posłuszeństwo znacznie częściej. Państwo posiadające obie formy może obniżać koszty swojej dominacji, gdyż część otoczenia dobrowolnie chce uczestniczyć w tworzonych przez nie instytucjach.

Nie oznacza to jednak, że soft power jest zawsze łagodna moralnie. Przyciąganie może służyć bardzo twardym interesom. Kształtowanie języka debaty, norm eksperckich, aspiracji edukacyjnych czy wzorców konsumpcji oddziałuje na społeczeństwa głęboko, choć bez jawnego przymusu. Granica między kulturą a polityką jest więc mniej oczywista, niż sugerowałoby określenie "miękka".

Cyber power zmienia anatomię władzy, ponieważ pozwala łączyć przymus, informację, wywiad, sabotaż i oddziaływanie psychologiczne w jednej przestrzeni. Andrews definiuje ją szeroko jako zdolność ingerowania w systemy komputerowe, informacyjne i elektroniczną infrastrukturę przeciwnika w celu wyrządzenia szkody lub wywarcia wpływu. Stuxnet pozostaje historycznie najważniejszą ilustracją przekroczenia granicy między sferą wirtualną a realną. Złośliwe oprogramowanie zaprojektowano tak, aby uderzyć w przemysłowe systemy sterowania irańskiego programu nuklearnego, wywołując fizyczne uszkodzenia urządzeń. Analizy Stanford CISAC opisują ten przypadek jako użycie cyfrowego narzędzia do realnej destrukcji infrastruktury jądrowej.

Znaczenie Stuxnetu nie ogranicza się do technicznej pomysłowości. Operacja ta udowodniła, że kod może pełnić funkcję, do której wcześniej potrzebny był sabotażysta, nalot lub operacja specjalna. Granica między oprogramowaniem a bronią przestała zależeć od materialnej formy narzędzia, a zaczęła od jego skutku. Jeśli ciąg instrukcji komputerowych może fizycznie zniszczyć urządzenie, pojęcie pola walki musi zostać rozszerzone. Cyber power posiada przy tym cechy szczególnie atrakcyjne strategicznie.

Może działać na odległość i być prowadzona poniżej progu formalnej wojny. Często utrudnia szybką identyfikację sprawcy i pozwala wykorzystać słabość pojedynczego, lecz kluczowego elementu systemu. Przede wszystkim umożliwia zastosowanie asymetrii znanej z działań aktorów niepaństwowych: relatywnie niewielki zespół o odpowiednich kompetencjach może wywołać skutki niewspółmierne do swojej liczebności. To zmienia logikę odstraszania. W klasycznym systemie nuklearnym przeciwnik musi wierzyć, że wiadomo, kto zaatakował i skąd nadeszło uderzenie. W cyberprzestrzeni atrybucja jest trudniejsza, a infrastruktura ataku może być rozproszona między wiele państw. Gdy nie ma pewności co do sprawcy, groźba odwetu staje się bardziej skomplikowana. Równie problematyczny jest próg reakcji: czy cyberatak wyłączający szpital to odpowiednik sabotażu? Czy czasowe odcięcie sieci energetycznej jest aktem wojny? A co, jeśli skutek ekonomiczny ataku przewyższa rezultat konwencjonalnego bombardowania, mimo że nikt nie zginął?

Technologia wytwarza nowe formy przemocy szybciej, niż prawo i doktryna polityczna potrafią je sklasyfikować. Dzięki temu cyber power idealnie wpisuje się w "szarą strefę" geopolityki. Państwo może wykradać dane, prowadzić rozpoznanie, manipulować informacją czy testować zabezpieczenia przeciwnika bez przekraczania progu wojny. Powstaje środowisko permanentnej konfrontacji, w którym pokój i konflikt nie są już kategoriami rozłącznymi.

Jeszcze bardziej złożone jest oddziaływanie informacyjne. Jeśli Stuxnet pokazał, że kod może uszkodzić maszynę, media społecznościowe udowodniły, że kod może wpływać na emocje społeczne. Algorytm nie musi mieć intencji politycznej, by stać się narzędziem politycznym. Jeżeli system rekomendacyjny premiuje treści generujące intensywne reakcje, może wzmacniać gniew, strach i polaryzację tylko dlatego, że takie treści najskuteczniej utrzymują uwagę użytkownika. Andrews wskazuje na dramatyczny przykład przemocy wobec Rohingjów w Myanmarze jako dowód na destrukcyjną relację między mediami społecznościowymi a radykalnym nacjonalizmem. Z punktu widzenia anatomii władzy kluczowe jest to, że infrastruktura informacyjna przestała być neutralnym kanałem przekazu. Jej architektura decyduje o tym, które komunikaty zobaczymy, jak szybko się rozprzestrzenią i jaką reakcję emocjonalną wywołają.

Algorytmiczna propaganda i erozja wspólnej rzeczywistości

Sztuczna inteligencja potęguje ten problem, radykalnie obniżając koszt produkcji przekonujących manipulacji. Klonowanie głosu, generowanie obrazów, automatyczne tworzenie tekstów oraz personalizacja przekazu pozwalają na masową produkcję wariantów komunikatu dostosowanych

do konkretnych odbiorców. O ile klasyczna propaganda oferowała jeden plakat dla milionów ludzi, o tyle propaganda algorytmiczna może przygotować milion różnych przekazów dla miliona osób.

Nie oznacza to, że każdy deepfake automatycznie zmienia wyniki wyborów lub obala rząd. Największe zagrożenie jest bardziej subtelne. Jeśli społeczeństwo przyjmie przekonanie, że każdy obraz, głos czy dokument mogą być fałszywe, skutkiem nie musi być wiara w konkretne kłamstwo, lecz utrata zdolności do uzgodnienia tego, co jest prawdą. Wtedy dezinformacja osiąga wyższy poziom skuteczności: zamiast przekonać obywatela do fałszu, utwierdza go w przekonaniu, że niczego nie można wiedzieć z pewnością. Władza nad informacją zmienia się wówczas we władzę nad zaufaniem.

Demokratyczne państwo potrzebuje minimalnej wspólnej rzeczywistości, aby społeczeństwo mogło prowadzić spór. Partie mogą interpretować ten sam fakt w różny sposób, ale muszą przynajmniej uznawać możliwość istnienia faktu. Jeśli każda informacja zostaje natychmiast sprowadzona do propagandy własnego obozu, polityka przestaje być sporem o interpretację i przechodzi w wojny o samą rzeczywistość.

Cyber power może zatem uderzyć w państwo bez niszczenia ani jednego budynku. Wystarczy osłabić zaufanie do wyborów, waluty, banków, wojska, administracji lub informacji publicznej. Społeczeństwo, które nie wierzy we własne instytucje, staje się trudniejsze do mobilizacji i podatniejsze na polaryzację. Cyberatak może zatem zostać skierowany nie na serwer, lecz na ʿasabijję. Granica pomiędzy hard, soft i cyber power zaczyna się przez to zacierać. Dron jest urządzeniem cyfrowym, ale przenosi materiał wybuchowy; kampania informacyjna działa miękko, lecz może przygotowywać grunt pod przemoc, a sankcja – będąca twardym instrumentem gospodarczym – może zależeć w swojej skuteczności od międzynarodowej legitymizacji.

Smart power jako strategiczna integracja instrumentów siły

Uniwersytet stanowi źródło soft power, a jednocześnie jest miejscem powstawania technologii o znaczeniu militarnym. Firma technologiczna może być prywatnym przedsiębiorstwem, lecz jej infrastruktura komunikacyjna w czasie konfliktu zyskuje wymiar strategiczny. Współczesna potęga jest systemem naczyń połączonych. Państwo dysponujące największą liczbą czołgów nie musi być najsilniejsze, jeśli brakuje mu technologii, gospodarki i koalicji pozwalających na ich skuteczne użycie. Z kolei państwo z ogromnym kapitałem kulturowym może odkryć, że sama atrakcyjność nie wystarcza do odstraszania agresora. Największą przewagę uzyskuje ten aktor, który potrafi

dopasować rodzaj siły do charakteru problemu. Stąd wywodzi się pojęcie smart power – inteligentnej kombinacji przymusu i przyciągania. Nie chodzi tu o prostą zasadę „trochę armii, trochę kultury", lecz o zdolność strategicznej orkiestracji instrumentów. CSIS, rozwijając tę koncepcję wspólnie z Josephem Nye'em i Richardem Armitage'em, akcentował znaczenie łączenia potencjału militarnego z sojuszami, partnerstwami i instytucjami zwiększającymi legitymizację działania.

Prawdziwe mocarstwo nie jest tym, które dysponuje najsilniejszym narzędziem przymusu, lecz tym, które wie, kiedy go nie używać. Groźba militarna może zmusić przeciwnika do negocjacji, ale to dyplomacja musi stworzyć porządek, którego nie trzeba codziennie wymuszać. Sankcja może podnieść koszt określonego zachowania, jednak alternatywa polityczna powinna pozwolić przeciwnikowi wycofać się bez całkowitej utraty twarzy. Kultura może budzić sympatię, lecz ta musi zostać przełożona na instytucjonalne partnerstwo. Błędem mocarstwa jest często nadmierne przywiązanie do swojego najskuteczniejszego instrumentu. Państwo z ogromną armią zaczyna dostrzegać problemy militarne tam, gdzie niezbędna jest polityka; potęga gospodarcza próbuje rozwiązywać każdy konflikt sankcjami.

Państwo przekonane o własnej atrakcyjności zakłada, że inni naturalnie przyjmą jego wartości. Potęga technologiczna wierzy z kolei, że właściwy algorytm rozwiąże problem społeczny. Każdy sukces danego narzędzia zwiększa ryzyko jego nadużywania. Andrewsowska anatomia potęgi prowadzi zatem do wniosku bardziej złożonego niż pierwotna maksyma Mao. Władza polityczna rzeczywiście może w sytuacji granicznej wyrastać z lufy karabinu, lecz trwała potęga nie mieści się już w lufie. Potrzebuje fabryki produkującej broń, gospodarki finansującej tę fabrykę, nauki tworzącej technologię, społeczeństwa gotowego ponieść koszty, sojuszników uznających wspólny interes, kultury zapewniającej atrakcyjność i systemu informacyjnego odpornego na manipulację. Najważniejszym zasobem staje się zatem zdolność integracji.

Hard power bez soft power może rodzić strach i resentyment. Soft power bez hard power może budzić podziw pozbawiony ochrony. Cyber power bez legitymizacji może stać się niezwykle skutecznym narzędziem destrukcji, ale równie łatwo zwiększa globalną nieufność. Mocarstwo jest pełne wtedy, gdy potrafi jednocześnie odstraszać, przyciągać, przekonywać, chronić i adaptować się.

Demografia jako bezwzględny fundament i ograniczenie potęgi państwa

Istnieje jednak jeszcze jeden zasób potęgi, którego żadna armia, marka ani algorytm nie stworzy w mgnieniu oka: człowiek. Potęga wymaga populacji – pracowników, podatników, inżynierów, żołnierzy, konsumentów i kolejnych pokoleń gotowych przejąć instytucje. Państwo może gromadzić broń przez dekady, lecz nie jest w stanie w ciągu kilku lat "wyprodukować" brakującego pokolenia dorosłych obywateli. W tym miejscu najbardziej futurystyczna opowieść o cyber power musi ustąpić jednej z najstarszych prawidłowości polityki. Po analizie map, imperiów, armii, kultur i algorytmów Andrews powraca do maksymy najbardziej lakonicznej: demografia jest przeznaczeniem. Pytanie o przyszłość potęgi staje się tym samym pytaniem o to, kto będzie młody, a kto stary; kto będzie pracował, a kto migrował i czy społeczeństwa potrzebujące nowych ludzi będą jednocześnie gotowe ich przyjąć. "Demografia to przeznaczenie". Wielkie odwrócenie populacyjne, migracja i geopolityka pokoleń.

Istnieją procesy polityczne, które można odwrócić jedną decyzją. Cło można podnieść, a następnie obniżyć. Sojusz można zawrzeć, wypowiedzieć albo renegocjować. Budżet można zmienić w następnym roku, rząd w kolejnych wyborach, a strategię bezpieczeństwa pod wpływem nowego zagrożenia.

Demografia działa inaczej. Dziecko, które nie urodziło się dwadzieścia pięć lat temu, nie pojawi się dziś jako inżynier, pielęgniarka, żołnierz ani podatnik. Państwo może w kilka miesięcy zwiększyć deficyt budżetowy, ale nie zdoła równie szybko zwiększyć liczby trzydziestolatków. Może kupić samoloty, lecz nie kupi od razu pokolenia zdolnego utrzymać system emerytalny. Demografia jest jedną z najwolniejszych, a zarazem najbardziej bezwzględnych form geopolitycznej siły.

Andrews sięga po sentencję "demografia to przeznaczenie", przypisywaną Auguste'owi Comte'owi, ponieważ liczebność i struktura wieku społeczeństwa wpływają niemal na wszystkie pozostałe elementy potęgi. Liczba ludzi określa wielkość potencjalnego rynku, zasób pracy, bazę podatkową, możliwości rekrutacyjne armii, dynamikę konsumpcji czy zapotrzebowanie na mieszkania i infrastrukturę, a także proporcję między ludźmi utrzymującymi system a tymi, którzy w większym stopniu z niego korzystają. Demografia nie jest więc osobnym rozdziałem gospodarki; jest podłożem, na którym gospodarka, polityka społeczna i bezpieczeństwo próbują się utrzymać. Jednocześnie określenie "przeznaczenie" wymaga ostrożności. Demografia nie działa jak wyrok. Dwa państwa o podobnej strukturze wieku mogą osiągnąć różne rezultaty, ponieważ inaczej organizują rynek pracy, edukację, opiekę zdrowotną, migrację, produktywność i politykę rodzinną. Starzenie społeczeństwa nie oznacza automatycznie upadku, podobnie jak młoda populacja nie

gwarantuje sukcesu gospodarczego. Demografia tworzy potencjał i ograniczenia. Polityka decyduje, co państwo z nimi zrobi. Aktualne dane potwierdzają zasadniczy kierunek diagnozy Andrewsa.

Według rewizji World Population Prospects 2024 globalny współczynnik dzietności wynosi około 2,25 dziecka na kobietę – czyli o mniej więcej jedno dziecko mniej niż pokolenie wcześniej – a pod koniec lat czterdziestych XXI wieku ma spaść w okolice poziomu zastępowalności pokoleń, około 2,1. Świat nie przechodzi więc już prostego procesu nieograniczonej eksplozji liczby ludności. Wchodzi w epokę znacznie bardziej skomplikowaną: jedne regiony nadal będą szybko rosły, podczas gdy inne znajdą się w długotrwałym procesie starzenia i kurczenia. To asymetria, a nie sama globalna liczba ludności, ma największe znaczenie geopolityczne. Średnia światowa może ukrywać dwa przeciwstawne światy.

W jednym społeczeństwa zmagają się z niedoborem młodych ludzi i rosnącą liczbą seniorów. W drugim miliony młodych każdego roku próbują wejść na rynek pracy, który nie jest w stanie stworzyć wystarczającej liczby produktywnych miejsc zatrudnienia. Jedni poszukują pracowników, drudzy pracy. Ekonomiczna logika sugerowałaby przepływ ludzi pomiędzy tymi obszarami. Polityczna logika tożsamości sprawia jednak, że właśnie ten przepływ staje się jednym z najbardziej konfliktogennych problemów współczesności. Europa znajduje się blisko pierwszego bieguna.

Demografia jako fundament bezpieczeństwa i geopolityka kapitału ludzkiego

Dane Eurostatu wskazują, że na początku 2025 roku na każde sto osób w wieku produkcyjnym w Unii Europejskiej przypadało już około 34,5 osoby w wieku 65 lat i więcej. Najnowsze projekcje z 2026 roku sugerują, że ludność UE może jeszcze nieznacznie wzrosnąć do końca tej dekady, by następnie rozpocząć systematyczny spadek – według obecnego scenariusza z około 451,8 miliona mieszkańców w 2025 roku do około 445 milionów w 2050 roku, a pod koniec stulecia jeszcze bardziej. Sam spadek liczby ludności nie jest jednak kluczowy; decydująca pozostaje struktura wieku. OECD prognozuje, że przeciętny stosunek liczby osób starszych do populacji w wieku produkcyjnym w państwach organizacji wzrośnie z około 31 procent w 2023 roku do około 52 procent w 2060 roku. Jednocześnie w wielu krajach liczba osób w wieku 20–64 lat będzie realnie spadać. Oznacza to zmianę społecznej arytmetyki: coraz mniejsza grupa aktywnych zawodowo będzie musiała finansować nie tylko bieżące funkcje państwa, ale także rosnące wydatki na świadczenia emerytalne, ochronę zdrowia i opiekę długoterminową.

W szczególnie trudnej sytuacji znajdzie się część Europy Środkowej, Południowej i Wschodniej. OECD wskazuje, że do połowy stulecia głębokie spadki populacji w wieku produkcyjnym mogą dotknąć między innymi Polskę, Włochy, Hiszpanię, Grecję, państwa bałtyckie oraz część Europy Środkowej. Z perspektywy geopolitycznej nie jest to wyłącznie problem emerytur. To pytanie o liczbę ludzi zdolnych jednocześnie pracować, finansować państwo, rozwijać technologie, zapewniać opiekę starszym i utrzymywać potencjał obronny. Demografia redefiniuje pojęcie bezpieczeństwa narodowego. Państwo może przeznaczać większy procent PKB na obronność, ale musi dysponować społeczeństwem zdolnym to PKB wytworzyć. Może zwiększyć liczebność armii, lecz wtedy konkuruje o tych samych młodych ludzi z przemysłem, medycyną, sektorem nowych technologii i usługami publicznymi. W starzejącym się społeczeństwie każdy trzydziestolatek staje się jednocześnie pracownikiem, podatnikiem, potencjalnym rodzicem, konsumentem i ewentualnym żołnierzem.

Rywalizacja o człowieka zaczyna się wewnątrz państwa, zanim przeniesie się na poziom międzynarodowy. Z tego punktu widzenia kryzys demograficzny nie musi prowadzić do bezpośredniej biedy – starzejące się społeczeństwo może pozostać zamożne. Problem tkwi raczej w zmianie dystrybucji zasobów. Coraz większa część dochodu publicznego musi być przeznaczana na podtrzymanie obecnego standardu życia, co utrudnia wygospodarowanie środków na inwestycje zwiększające przyszłą produktywność. Państwo zaczyna konkurować samo ze sobą: emerytura zbroi się przeciwko laboratorium, opieka zdrowotna przeciwko infrastrukturze, a potrzeby obecnego pokolenia przeciwko inwestycjom niezbędnym dla następnego. Nie jest to konflikt moralny między młodymi a starymi.

Długowieczność jest jednym z największych sukcesów cywilizacyjnych nowoczesności. Problem wynika właśnie z tego sukcesu: żyjemy dłużej i zdrowiej, korzystając ze świadczeń przez znacznie więcej lat, podczas gdy w kolejne pokolenia podatników wchodzi coraz mniej dzieci. Społeczeństwo musi zatem dostosować instytucje zaprojektowane dla zupełnie innej piramidy wieku. OECD proponuje nie pojedynczy instrument, lecz kombinację działań: wydłużanie aktywności zawodowej, wzrost produktywności, lepsze wykorzystanie potencjału kobiet i grup o niższej aktywności, inwestowanie w kompetencje oraz migrację. Organizacja podkreśla, że starzenie się populacji będzie nasilać niedobory pracy i presję fiskalną. Jest to istotna korekta zbyt kategorycznego sformułowania z notatki Andrewsa, jakoby masowy napływ migrantów był matematycznie „niezbędny”. Migracja jest jednym z najważniejszych instrumentów łagodzenia niedoborów pracy, ale nie jedynym.

Automatyzacja może zwiększyć produkcję przypadającą na jednego pracownika, a sztuczna inteligencja redukować zapotrzebowanie na niektóre czynności, tworząc jednocześnie popyt na

inne. Późniejsze przechodzenie na emeryturę oraz lepsza ochrona zdrowia wydłużają okres aktywności zawodowej. Wyższa aktywność kobiet i osób starszych pozwala wykorzystać rezerwy wewnętrzne społeczeństwa. Żaden z tych mechanizmów samodzielnie nie rozwiązuje problemu, lecz razem mogą znacząco zmienić jego skalę. Migracja pozostaje jednak instrumentem wyjątkowym, gdyż jako jedyna może stosunkowo szybko zmienić strukturę wieku. Państwo nie przyspieszy narodzin dwudziestopięciolatków, ale może przyjąć dwudziestopięcioletniego pracownika z innego kraju. Ekonomicznie jest to mechanizm niezwykle atrakcyjny: społeczeństwo przyjmujące nie poniosło kosztów jego dzieciństwa i edukacji, a otrzymuje człowieka w szczycie aktywności zawodowej. Ta sama cecha generuje jednak asymetrię po stronie państwa pochodzenia.

Jeśli Europa, Ameryka Północna czy bogate państwa Azji będą systematycznie przyciągać najlepiej wykształconych lekarzy, inżynierów, programistów i pielęgniarki z regionów młodszych demograficznie, migracja może stać się transferem kapitału ludzkiego z państw biedniejszych do bogatszych. Niedobór pracy jednego społeczeństwa zostanie wówczas częściowo rozwiązany kosztem zdolności rozwojowych drugiego.

Migracja nie jest więc prostym przesunięciem ludzi na globalnym rynku pracy. Jest również geopolityką kapitału ludzkiego. Państwa konkurują o talenty tak samo, jak konkurują o inwestycje i technologie. Wysokie wynagrodzenia, bezpieczeństwo, stabilne instytucje, prestiżowe uniwersytety, prawa obywatelskie i jakość życia stają się narzędziami strategicznego przyciągania człowieka. Soft power spotyka się tutaj bezpośrednio z demografią.

Afrykańska demografia jako potencjalna dywidenda lub źródło destabilizacji

Największym potencjalnym źródłem przyszłej mobilności pozostaje Afryka. Według Banku Światowego populacja Afryki Subsaharyjskiej może wzrosnąć z około 1,5 miliarda w 2024 roku do 2,5 miliarda w 2050 roku, a liczba osób w wieku produkcyjnym zwiększyć się o ponad 600 milionów. Nowsze analizy wskazują, że aby wykorzystać tę podaż pracy, region będzie musiał tworzyć około 25 milionów miejsc pracy rocznie aż do połowy stulecia. Te liczby można odczytać na dwa całkowicie odmienne sposoby.

Pierwszy jest optymistyczny: Afryka dysponuje największą na świecie rezerwą przyszłej pracy, przedsiębiorczości, konsumpcji i innowacyjności. W epoce starzenia się Europy i znacznej części Azji, młoda struktura demograficzna może stać się ogromną przewagą. Bank Światowy szacuje, że do 2050 roku jedna trzecia ludzi w wieku 15–34 lata na świecie może mieszkać właśnie w Afryce.

Jeśli młodzi otrzymają odpowiednią edukację i opiekę zdrowotną, a państwa zapewnią infrastrukturę, kapitał oraz produktywne zatrudnienie, demografia uruchomi klasyczną dywidendę demograficzną. Istnieje jednak drugi scenariusz.

Młodość bez pracy nie jest dywidendą. Jest frustracją. Miliony ludzi wchodzących co roku na rynek pracy bez perspektyw zatrudnienia mogą zwiększać presję migracyjną, rozwijać gospodarkę nieformalną, zasilać przestępczość lub stawać się łatwym celem rekrutacji dla radykalnych ruchów politycznych i religijnych. Bank Światowy podkreśla, że większość zatrudnienia w regionie pozostaje nieformalna, a tylko niewielka część nowych pracowników trafia do stabilnych miejsc pracy najemnej. Dywidenda demograficzna nie jest więc automatycznym procentem od liczby urodzeń.

Jest inwestycją. Aby młody człowiek stał się kapitałem rozwojowym, potrzebuje zdrowia, edukacji, bezpieczeństwa i infrastruktury oraz dostępu do gospodarki zdolnej wykorzystać jego kompetencje. Bez tych warunków wielka liczba młodych ludzi może stać się nie przewagą państwa, lecz dowodem jego niespełnionej obietnicy.

Migracja jako starcie ekonomicznej komplementarności z tożsamością

Pozwala to spojrzeć inaczej na geopolityczną relację Europy i Afryki. Nie musi ona być opowieścią o jednostronnym przepływie migrantów z Południa na Północ, lecz może stać się jednym z najważniejszych obszarów komplementarności XXI wieku. Europa dysponuje kapitałem, technologią i instytucjami, mierząc się jednocześnie z szybko starzejącym się społeczeństwem. Afryka posiada natomiast rosnącą liczbę młodych ludzi, urbanizujące się rynki i ogromne potrzeby inwestycyjne. Teoretycznie oba kontynenty są więc wobec siebie niezwykle komplementarne, choć w praktyce ta zależność może generować polityczne napięcia.

Europa potrzebuje pracowników, lecz jej wyborcy obawiają się utraty kontroli nad migracją. Afryka potrzebuje kapitału i miejsc pracy, ale nie chce zostać zredukowana do roli rezerwuaru taniej siły roboczej. Państwa europejskie dążą do selektywnej migracji wysoko wykwalifikowanej, podczas gdy państwa afrykańskie słusznie dostrzegają w tym ryzyko drenażu mózgów. Ekonomiczny model wzajemnych korzyści musi zatem zostać uzupełniony polityką uznania i partnerstwa. Tu powraca główna sprzeczność Andrewsa: społeczeństwa mogą potrzebować migracji ekonomicznie, a jednocześnie odrzucać ją politycznie. Nie jest to sprzeczność pozorna, gdyż migracja zmienia nie

tylko podaż pracy, ale i samą wspólnotę polityczną. Pracownik nie jest bowiem abstrakcyjną jednostką ekonomiczną.

Przyjeżdża on z własnym językiem, religią, rodziną, pamięcią i kulturą. Jeśli zostaje na stałe, jego dzieci stają się częścią społeczeństwa. To właśnie dlatego debata o migracji tak szybko wykracza poza rynek pracy i przechodzi w stronę pytania o tożsamość. Angela Merkel w 2015 roku wypowiedziała słynne „Wir schaffen das", wyrażając przekonanie, że Niemcy są zdolne poradzić sobie z napływem uchodźców. Andrews wykorzystuje ten przypadek jako ilustrację konfliktu między humanitarną i ekonomiczną logiką otwarcia a politycznym oporem wobec gwałtownej zmiany. W jego ujęciu to właśnie ten opór współtworzył warunki wzrostu partii antyimigracyjnych. Nie należy jednak sprowadzać zmiany preferencji wyborczych do jednego czynnika. Wzrost populizmu wynika zwykle ze splotu migracji, nierówności regionalnych, kryzysu reprezentacji, kwestii tożsamości i bezpieczeństwa oraz społecznego poczucia utraty kontroli. Kluczowym słowem jest tutaj właśnie „kontrola".

Badania nad migracjami wielokrotnie pokazują, że debata polityczna nie dotyczy wyłącznie liczby przyjezdnych. Chodzi o przekonanie obywateli, czy państwo potrafi decydować, kto przyjeżdża, na jakich zasadach i na jak długo oraz jakie obowiązki i prawa wynikają z osiedlenia. Im bardziej migracja jawi się jako proces niekontrolowany, tym łatwiej staje się symbolem utraty suwerenności.

Polityczna trwałość migracji wymaga zatem czegoś więcej niż ekonomicznego dowodu jej opłacalności; potrzebuje instytucji integracji i wiarygodnych granic. Państwo musi być jednocześnie zdolne powiedzieć „tak" tym, których chce przyjąć, oraz „nie" tam, gdzie warunki nie zostały spełnione. Liberalizm pozbawiony zdolności egzekwowania reguł może wywołać reakcję, która ostatecznie uderzy w sam liberalizm.

Integracja jest procesem znacznie dłuższym niż zatrudnienie. Człowiek może zacząć pracę dzień po przyjeździe, lecz zbudowanie wspólnej tożsamości politycznej wymaga czasu. Niezbędne są język, szkoła, rynek pracy, kontakty społeczne, możliwość awansu, poczucie sprawiedliwości i przyjęcie podstawowych reguł instytucjonalnych. Integracja nie musi oznaczać kulturowej identyczności, lecz musi wytworzyć wystarczającą wspólnotę polityczną, aby człowiek uznawał państwo przyjmujące nie tylko za miejsce zarabiania pieniędzy, ale za przestrzeń, z której prawami wiążą go także obowiązki. Tutaj migracja ponownie spotyka się z ʿasabijją. Pytanie brzmi, czy nowoczesne społeczeństwo potrafi rozszerzać zakres swojego "my" bez utraty jego intensywności. Jeżeli wspólnota jest całkowicie zamknięta, nie potrafi adaptować się do świata mobilności i demograficznych niedoborów. Jeśli zaś jest całkowicie pozbawiona granic symbolicznych, może mieć trudność z uzasadnieniem, dlaczego jej członkowie powinni ponosić wzajemnie wysokie koszty solidarności. To jedno z najtrudniejszych wyzwań państwa dobrobytu, gdyż system

redystrybucyjny wymaga znacznego zaufania społecznego. Obywatel płaci podatki w przekonaniu, że finansuje wspólnotę, do której realnie należy.

Demografia jako źródło wewnętrznych pęknięć i osłabienia potencjału państwa

Jeśli gwałtowna zmiana demograficzna zostanie przedstawiona jako rozpad wspólnoty, solidarność społeczna może zostać politycznie osłabiona. Z drugiej strony wykluczanie migrantów z pełnego uczestnictwa w życiu społecznym tworzy trwałe peryferie, które same stają się źródłem konfliktów. Integracja nie jest zatem dodatkiem do polityki migracyjnej, lecz warunkiem jej trwałości.

Demografia oddziałuje również poprzez geografię wewnętrzną. Starzenie się i depopulacja nie rozkładają się równomiernie: podczas gdy stolice przyciągają młodych, prowincja kurczy się; regiony uniwersyteckie rosną, a małe miasta wyludniają się. Najnowsze projekcje Eurostatu wskazują na głębokie zróżnicowanie tempa starzenia europejskich regionów, co jest szczególnie widoczne m.in. w części Polski, państwach bałtyckich, Portugalii, Hiszpanii i Włochach.

Konsekwencje polityczne są poważne. Region tracący młodych ludzi traci jednocześnie bazę podatkową, przedsiębiorczość, dostęp do usług i polityczny optymizm. Zamykane są szkoły, ograniczany transport publiczny, utrudniony dostęp do lekarza, a lokalny rynek staje się coraz mniej atrakcyjny dla inwestorów. Powstaje spirala: ludzie wyjeżdżają, bo maleją możliwości, a możliwości maleją, bo ludzie wyjeżdżają. W ten sposób demograficzne peryferie mogą stać się peryferiami politycznego gniewu. Mieszkaniec wyludniającego się regionu obserwuje spektakularny rozwój metropolii, jednocześnie doświadczając degradacji własnych usług publicznych. Wówczas globalizacja i modernizacja przestają być dla niego abstrakcyjnym sukcesem państwa, a stają się procesem, który dzieje się gdzie indziej. Pozwala to lepiej zrozumieć naturę współczesnego populizmu.

Nie zawsze jest on buntem najbiedniejszych; często jest to sprzeciw wspólnot obawiających się utraty statusu, znaczenia i przyszłości. Demografia oddziałuje więc nie tylko poprzez realną liczbę mieszkańców, ale poprzez psychologię znikania. Społeczeństwo patrzące na zamkniętą szkołę czy opuszczone centrum miasta może postrzegać własną przyszłość w kategoriach procesu kurczenia.

Migracja wewnętrzna i międzynarodowa stają się elementami jednego systemu. Młody człowiek z małego miasta przenosi się do stolicy, a jego miejsce na lokalnym rynku pracy może zająć migrant zza granicy. Metropolia rośnie, region starzeje się, a polityczne doświadczenie obu tych przestrzeni

zaczyna się radykalnie różnić. Ten sam kraj może zatem posiadać jednocześnie gospodarkę dynamicznego, wielokulturowego centrum i psychologię demograficznego schyłku na peryferiach.

Demografia ma także wymiar militarny. W epoce masowych armii liczebność młodych mężczyzn była jednym z najprostszych mierników potencjału mobilizacyjnego. Technologia zmieniła tę zależność – współczesne siły zbrojne wymagają mniejszej liczby żołnierzy, ale znacznie wyższych kompetencji. Nie usunęła to jednak problemu zasobów ludzkich. Zaawansowany system rakietowy potrzebuje operatora, cyberbezpieczeństwo ekspertów, przemysł obronny inżynierów, a armia – rezerw.

Starzejące się społeczeństwo staje przed trudnym wyborem: jak zwiększać zdolności obronne w czasie, gdy liczba młodych ludzi maleje, a konkurencja o ich pracę rośnie. Automatyzacja i systemy autonomiczne mogą częściowo łagodzić ten problem, lecz nie eliminują potrzeby społecznego zaplecza wojny. Nawet armia dronów wymaga przemysłu, energii, serwisu, logistyki i podatników.

Demografia jako biologiczne podłoże potęgi państwa

Demografia staje się ukrytą zmienną pułapki Tukidydesa. Chiny są mocarstwem, lecz jednocześnie należą do społeczeństw wchodzących w fazę głębokiego starzenia. Najnowszy raport ONZ dotyczący płodności wskazuje, że współczynnik dzietności w Chinach jest jednym z najniższych na świecie i spadł poniżej jednego dziecka na kobietę. Oznacza to, że chińska potęga rozwija się równocześnie z coraz trudniejszą strukturą wieku. W perspektywie historycznej jest to sytuacja niezwykła: rosnące mocarstwo nie musi być już społeczeństwem młodym; może zwiększać swoje możliwości technologiczne i militarne w czasie, gdy jego baza demograficzna zaczyna się kurczyć. To komplikuje proste modele linearnego wzrostu Chin.

Potęga gospodarcza, industrializacja i technologia mogą przez długi czas kompensować spadek liczby ludności, jednak koszty polityki społecznej i niedobory na rynku pracy będą rosły. Z drugiej strony demograficzna młodość sama w sobie nie tworzy hegemonii. Afryka może dysponować ogromną populacją w wieku produkcyjnym i jednocześnie pozostać politycznie oraz gospodarczo rozdrobniona. Indie mogą korzystać z korzystniejszej struktury wieku niż Chiny, lecz realizacja tej przewagi zależy od edukacji, infrastruktury, produktywności i zdolności tworzenia zatrudnienia. Liczba ludzi jest potencjałem, nie rezultatem.

Zdanie „demografia to przeznaczenie” warto odwrócić. Demografia jest przeznaczeniem tylko dla państw, które nie potrafią na nią odpowiedzieć. Dla pozostałych stanowi strategiczny warunek, który można łagodzić, wykorzystywać i przekształcać, choć nie wolno go ignorować.

Państwo starzejące się może podnosić produktywność, wydłużać aktywność zawodową, automatyzować procesy, inwestować w zdrowie i przyciągać migrantów. Państwo młode powinno inwestować w edukację, miejsca pracy, miasta i przedsiębiorczość. Państwo kurczące się może organizować przestrzeń inaczej, zamiast bezskutecznie próbować utrzymywać tę samą sieć instytucji dla coraz mniejszej liczby mieszkańców. Nie ma jednej polityki demograficznej, ponieważ nie istnieje jeden problem demograficzny. Istnieje jednak granica politycznej adaptacji. Wszystkie te strategie wymagają czasu, kapitału i społecznego zaufania. Reformy emerytalne budzą opór, migracja uruchamia konflikty tożsamościowe, a automatyzacja może likwidować miejsca pracy. Polityka rodzinna jest kosztowna i nie gwarantuje szybkiego wzrostu dzietności, natomiast inwestycje w edukację w Afryce potrzebują dekad, by obecne dziecko stało się wysoko produktywnym pracownikiem.

Demografia karze przede wszystkim za spóźnienie. Jest ona być może najbardziej antydemokratycznym spośród neutralnych procesów społecznych: nie interesuje jej kalendarz wyborczy. Starzenie się społeczeństwa nie zostaje zawieszone na czas kampanii, a niedobór pracowników nie pyta o popularność reformy emerytalnej. Dziecko potrzebuje około dwóch dekad, zanim wejdzie na rynek pracy, niezależnie od długości kadencji parlamentu.

Junckerowska sprzeczność między wiedzą o tym, co należy zrobić, a możliwością ponownego wyboru osiąga tutaj swoją najbardziej bezlitosną formę. Demografia będzie testem dojrzałości państw XXI wieku. Wymaga działania na rzecz ludzi, którzy jeszcze nie głosują, a czasem jeszcze się nie urodzili; budowania infrastruktury dla przyszłej struktury społeczeństwa, a nie dla tej zapamiętanej z przeszłości. Wymaga uznania, że polityka migracyjna, rodzinna, edukacyjna, mieszkaniowa i emerytalna są elementami jednej, długofalowej strategii państwa. Prowadzi to również do redefinicji potęgi. W XX wieku wielkość populacji często oznaczała zdolność wystawienia większej armii i liczniejszej rzeszy robotników. W XXI wieku kluczowa będzie jakość kapitału ludzkiego, zdolność przyciągania ludzi, ich produktywność, zdrowie oraz sprawność w coraz bardziej technologicznej gospodarce. Państwo z mniejszą liczbą obywateli może być silniejsze, jeśli każdy z nich posiada wyższe kompetencje i większy kapitał. Jednak nawet najbardziej produktywny pracownik nie zastąpi w nieskończoność całego nieurodzonego pokolenia.

Demografia przypomina geopolityce, że potęga ma biologiczne podłoże. Państwa są abstrakcjami, ale ich podatki płacą ludzie. Strategie piszą ludzie. Armie tworzą ludzie. Innowacje wymyślają ludzie. Cywilizacje mogą opisywać się wielkimi ideami, lecz każda z nich potrzebuje kolejnego pokolenia, które zechce tę opowieść kontynuować.

Demografia łączy się z ostatnią wielką siłą zmieniającą mapę XXI wieku. Młode populacje koncentrują się w regionach szczególnie podatnych na skutki zmian klimatycznych; starzejące się

społeczeństwa bogatej Północy posiadają większy kapitał adaptacyjny, lecz coraz mniejszą gotowość polityczną do przyjmowania migrantów. Susza, utrata produktywności rolniczej, ekstremalne temperatury i presja na zasoby nie będą działać w świecie demograficznie neutralnym. Będą uderzać w społeczeństwa o zupełnie różnych strukturach wieku, dochodu i odporności instytucjonalnej.

W tym miejscu spotykają się dwa wielkie procesy przyszłości opisane przez Andrewsa. Demografia kształtuje liczbę ludzi i ich rozmieszczenie; klimat zmienia warunki przestrzeni, w której mają żyć. Jeden proces przesuwa ciężar świata ku młodszym społeczeństwom Południa, drugi może zwiększać presję właśnie na te obszary. Migracja staje się mostem pomiędzy nimi, a nacjonalizm może próbować ten most zamknąć.

Ostatnie pytanie tej opowieści brzmi zatem nie tylko: ilu ludzi będzie żyło na Ziemi? Brzmi ono znacznie bardziej politycznie: gdzie będą żyli, gdzie będą mogli pracować, które państwa zechcą ich przyjąć i co się wydarzy, gdy demografia będzie pchała ludzi ku granicom, a polityka będzie budowała na tych granicach coraz wyższe mury?

Klimat jako mnożnik ryzyka i katalizator geopolitycznych nierówności

Klimat i "mozaika fortec". Geopolityka świata, który potrzebuje współpracy, a wybiera odgrodzenie

Po mapie, sile, imperiach, demokracji, tożsamości, technologii i demografii pozostaje czynnik najbardziej paradoksalny: klimat. Nie dlatego, że zastępuje on dotychczasowe mechanizmy geopolityki, lecz dlatego, że potrafi je jednocześnie wzmacniać. Susza nie wywołuje konfliktu etnicznego, ale zwiększa presję na zasoby, wokół których ten konflikt się organizuje. Wzrost temperatury nie tworzy automatycznie migranta, lecz pogarsza warunki życia w miejscu, z którego ucieczka staje się racjonalną strategią przetrwania. Topnienie lodu samo w sobie nie powoduje wojny o Arktykę, ale zmienia dostępność przestrzeni, której wcześniejsza niedostępność ograniczała polityczną konkurencję. Klimat nie jest więc nowym graczem na szachownicy; jest siłą, która zaczyna przesuwać samą szachownicę.

W konstrukcji Andrewsa zmiana klimatyczna jawi się jako ostatni wielki wzmacniacz geopolitycznego zamętu. Autor łączy ją z migracjami, presją na żywność i wodę, konfliktami o zasoby oraz zmianą znaczenia Arktyki i Antarktydy. Wskazuje też na trudność w osiągnięciu międzynarodowego kompromisu między społeczeństwami, które w różnym stopniu przyczyniły się do emisji i dysponują nierównymi środkami adaptacji. Diagnoza ta prowadzi ku figurze "mozaiki

fortec": wizji świata, który wobec globalnych zagrożeń nie odpowiada większą solidarnością, lecz budowaniem nowych barier.

Początek analizy wymaga doprecyzowania naukowego. Klimatu nie należy traktować jako prostego mechanizmu wywołującego wojny. IPCC ocenia, że zagrożenia klimatyczne stają się coraz ważniejszym czynnikiem wymuszającym przesiedlenia i mogą zwiększać podatność na konflikty poprzez wzmacnianie istniejących napięć społecznych, ekonomicznych i politycznych. Badania nie uzasadniają jednak deterministycznego schematu "susza powoduje wojnę". Znacznie trafniejsze jest pojęcie mnożnika ryzyka: klimat pogarsza warunki tam, gdzie już występują słabe instytucje, ubóstwo, rywalizacja o zasoby lub konflikty polityczne. To rozróżnienie ma kluczowe znaczenie dla interpretacji wojny w Sudanie, którą bywa się przywołuje jako przykład konfliktu związanego ze zmianą klimatu. Nie byłoby metodologicznie poprawne przedstawienie walk rozpoczętych w 2023 roku jako "wojny klimatycznej".

Bezpośrednie źródła tego konfliktu mają charakter polityczny, wojskowy i instytucjonalny. Klimatyczna presja na wodę, ziemię i bezpieczeństwo żywnościowe może zwiększać społeczną kruchość otoczenia, w którym rozgrywa się walka o władzę. Właśnie tak należy rozumieć współczesny konsensus badawczy: klimat rzadko naciska spust, ale często dostarcza materiału łatwopalnego. Skala zmian przestała być kwestią odległej przyszłości. Światowa Organizacja Meteorologiczna podała w marcu 2026 roku, że rok 2025 był drugim lub trzecim najcieplejszym w historii pomiarów (ok. 1,43°C powyżej średniej z lat 1850-1900), a lata 2015–2025 zamknęły serię jedenastu najcieplejszych lat w całym szeregu obserwacyjnym.

Politycznie ważniejsza od średnich temperatur jest rosnąca częstotliwość ekstremalnych zjawisk pogodowych, które uderzają w infrastrukturę, rolnictwo i zdrowie publiczne. Klimat staje się testem instytucjonalnym. Ten sam huragan czy fala upałów oznaczają co innego dla państwa ze sprawną administracją i systemem ubezpieczeń, a co innego dla społeczeństwa, którego instytucje są na granicy wydolności. Ryzyko klimatyczne jest nierówne nie tylko ze względu na geografię, ale przede wszystkim z powodu różnic w zdolności absorbowania strat. To prowadzi bezpośrednio do problemu sprawiedliwości klimatycznej.

Najbogatsze społeczeństwa mogą budować zapory, klimatyzować miasta i finansować technologie adaptacyjne. Państwo biedne, zależne od rolnictwa, posiada znacznie mniejszy margines błędu. Zmiana klimatyczna staje się więc problemem geopolitycznej nierówności: nie wszyscy są jednakowo odpowiedzialni za historyczne emisje i nie każdy dysponuje takimi samymi środkami obrony.

Negocjacje klimatyczne nie są zatem wyłącznie sporem o fizykę atmosfery, lecz negocjacją dotyczącą historii rozwoju. Państwo, które wzbogaciło się w epoce paliw kopalnych, może dziś oczekiwać szybkiej dekarbonizacji od społeczeństwa, które dopiero buduje przemysł i wydobywa miliony ludzi z ubóstwa. Z perspektywy pierwszego transformacja jest problemem globalnego bezpieczeństwa; z perspektywy drugiego może wyglądać jak próba zamknięcia drabiny rozwojowej po wejściu na jej najwyższy szczebel.

Książka Andrewsa słusznie identyfikuje ten spór jako jedną z głównych przyczyn braku globalnego kompromisu. Realizm polityczny nie pozwala oczekiwać, że problem rozwiąże moralny apel o odpowiedzialność za planetę – każdy rząd odpowiada przede wszystkim przed własnymi obywatelami. Transformacja energetyczna może być poparta w teorii, lecz zostanie zakwestionowana, gdy jej koszt pojawi się w rachunkach za prąd, cenach transportu lub utracie miejsc pracy. Junckerowski dylemat demokratycznego polityka powraca z pełną siłą: można wiedzieć, że określone działania są konieczne, a jednocześnie nie wiedzieć, jak po ich wprowadzeniu wygrać wybory. Autorytaryzm nie rozwiązuje tego problemu automatycznie.

Klimat jako test jakości państwa i katalizator migracji

Reżim autorytarny może szybciej narzucić inwestycję, stłumić protest lub dokonać przemysłowej koncentracji zasobów, lecz wciąż pozostaje zależny od gospodarki, energii, legitymizacji i społecznych skutków własnych decyzji. Klimat nie wybiera ustroju, który będzie musiał się do niego adaptować. Testuje natomiast jakość państwa: jego zdolność przewidywania, inwestowania przed kryzysem i utrzymywania społecznej zgody na koszty, których korzyścią jest często katastrofa, do której dzięki nim nie doszło.

W tym miejscu klimat spotyka się z demografią. IPCC uznaje zagrożenia środowiskowe za coraz istotniejszy czynnik przymusowej mobilności i przesiedleń. WMO wskazywała natomiast, że ekstremalne zjawiska pogodowe już w 2024 roku przyczyniły się do największej od 2008 roku liczby nowych rocznych przemieszczeń związanych z katastrofami, a wydarzenia roku 2025 nadal wywoływały poważne przesiedlenia, utratę źródeł utrzymania i zakłócenia w systemach żywnościowych. Nie należy jednak budować na tej podstawie prostego obrazu „miliardów uchodźców klimatycznych zmierzających na Północ". Większość migracji wymuszanej przez katastrofy i degradację środowiska odbywa się wewnątrz państw lub w obrębie regionów sąsiednich; migracja jest zawsze wynikiem wielu nakładających się czynników. To właśnie ta wieloczynnikowość czyni klimat politycznie kluczowym. Jeśli dochód z rolnictwa spada, w mieście

czeka rodzina, granica pozostaje przejezdna, a sieć migracyjna daje szansę na pracę – zmiana warunków klimatycznych może stać się elementem, który przechyli bilans decyzji.

Największy paradoks ujawnia się w relacji z demografią opisanej wcześniej. Regiony z najmłodszymi populacjami świata należą zarazem do obszarów o najmniejszych zasobach finansowych na adaptację i największej ekspozycji na ekstremalne warunki pogodowe. W 2026 roku WMO wskazywała, że w Afryce powodzie pozostawały najczęściej raportowanym zagrożeniem klimatycznym, a część afrykańskich wybrzeży doświadcza wzrostu poziomu morza szybszego niż średnia globalna.

Iluzja fortecy w obliczu transgranicznych kryzysów klimatycznych

W ten sposób młodość demograficzna, która mogłaby stać się wielką dywidendą rozwojową, funkcjonuje w środowisku wymagającym ogromnych inwestycji w odporność. Jeśli te nakłady nie zostaną poniesione, presja migracyjna może gwałtownie wzrosnąć właśnie wtedy, gdy starzejące się społeczeństwa Północy będą potrzebować nowych pracowników, lecz ich polityka będzie coraz silniej dążyć do zamykania granic. Andrewsowski paradoks uzyskuje wtedy niemal geometryczną czystość: jedna część świata dysponuje ludźmi i potrzebuje kapitału oraz stabilności, druga posiada kapitał i potrzebuje ludzi, jednak tożsamość polityczna utrudnia swobodną wymianę tych zasobów. W świecie dobrze zarządzanym odpowiedzią byłaby komplementarność.

Kapitał płynąłby do regionów młodych, tworząc miejsca pracy bliżej miejsca zamieszkania ludzi. Legalna i selektywna migracja uzupełniałaby niedobory na rynkach starzejących się społeczeństw. Technologie adaptacyjne rozwijano by wspólnie, a handel pozwalałby amortyzować lokalne braki żywności i energii. Innymi słowy, rozwiązaniem byłaby większa sieciowość w momencie, gdy podatność tych sieci wzrasta. Tymczasem polityka może prowadzić w przeciwnym kierunku. Rosnące poczucie zagrożenia potęguje potrzebę kontroli. Kryzys migracyjny usztywnia granice, wojna zwiększa protekcjonizm, a niedobór strategicznych surowców wymusza dążenie do krajowej samowystarczalności. Pandemia prowadzi do skracania łańcuchów dostaw, zaś konflikt technologiczny zaostrza kontrolę eksportu.

Każdy z tych ruchów jest racjonalny z perspektywy bezpieczeństwa pojedynczego państwa. Ich suma może jednak stworzyć system mniej efektywny i mniej zdolny do współpracy przy problemach, których żadne państwo nie rozwiąże samodzielnie.

Tutaj pojawia się Harari i jego sugestywna "mozaika fortec". W eseju z 2025 roku przeciwstawił on liberalną wizję świata jako sieci możliwej współpracy obrazowi państw oddzielonych murami finansowymi, militarnymi, kulturowymi i fizycznymi. Andrews wykorzystuje tę metaforę jako obraz możliwego porządku postglobalizacyjnego: państwa chcą korzystać z korzyści suwerenności i bezpieczeństwa, ograniczając jednocześnie zależności od otoczenia. Metafora ta jest celna, ponieważ forteca daje poczucie ochrony, lecz nie tworzy samowystarczalności. Współczesne państwo nadal potrzebuje importowanych minerałów, technologii, żywności, komponentów, energii, danych, kapitału oraz wiedzy.

Mur może ograniczyć przepływ ludzi, ale nie zatrzyma dwutlenku węgla. Cło może zmniejszyć import, lecz nie skieruje huraganu na inne wybrzeże. Narodowa kontrola nad technologią nie zmieni faktu, że atmosfera jest wspólnym systemem fizycznym. Klimat posiada zatem właściwość wyjątkowo niewygodną dla nacjonalistycznego modelu polityki: jest radykalnie transgraniczny. To samo dotyczy oceanów. Państwo może kontrolować własne wody terytorialne, ale nie jest w stanie samodzielnie zarządzać temperaturą oceanu ani globalnym poziomem mórz. Klimat jest zatem problemem, który obnaża niedopasowanie skali instytucji politycznych do skali zjawiska. Narzędzia odpowiedzialności demokratycznej pozostają przede wszystkim narodowe, podczas gdy przyczyna i skutek są rozproszone globalnie.

Najbardziej spektakularnym przykładem zmiany fizycznej mapy pozostaje Arktyka. NOAA podała, że w marcu 2025 roku zimowe maksimum zasięgu arktycznego lodu morskiego było najniższe w całej 47-letniej serii satelitarnej, a zasięg letniego minimum pozostał wśród najniższych obserwowanych wartości. W porównaniu z 2005 rokiem zasięg lodu pod koniec lata 2025 był o 28 procent mniejszy, a sam lód stał się młodszy i cieńszy. Tu Andrewsowska "zemsta mapy" uzyskuje odwrotną postać. Wcześniej geografia ograniczała działanie państw; teraz zmiana klimatu zaczyna te ograniczenia znosić. Trasa morska, dawniej blokowana przez lód, może stawać się dostępna przez dłuższy okres.

Przestrzeń o marginalnym znaczeniu gospodarczym może nabierać wartości strategicznej. Nowe znaczenie zyskują infrastruktura wojskowa, porty, monitoring, ratownictwo i kontrola szlaków. Nie oznacza to jednak, że Arktyka staje się po prostu nowym Kanałem Sueskim. Warunki nadal pozostają trudne, infrastruktura jest ograniczona, a dostępność szlaków sezonowa i zmienna. Rosnące znaczenie żeglugi nie jest równoznaczne z gwarancją ekonomicznej opłacalności.

Prawidłowa diagnoza geopolityczna powinna zatem unikać zarówno lekceważenia zmian, jak i sensacyjnego obrazu natychmiastowego "wyścigu po Arktykę". Znaczenie tego regionu wynika również z faktu, że nakładają się tam interesy państw dysponujących ogromnymi zdolnościami wojskowymi i gospodarczymi. Arctic Council skupia osiem państw arktycznych, a jurysdykcje

narodowe i prawo międzynarodowe regulują znaczną część działalności wokół Oceanu Arktycznego. Rywalizacja nie odbywa się więc w prawnej pustce. Geopolityka i instytucjonalizacja istnieją równolegle, podobnie jak w całej Andrewsowskiej opowieści o relacji siły i norm.

Konieczne jest również sprostowanie jednego z najbardziej kategorycznych sformułowań książki źródłowej. Opracowanie Andrewsa zestawia Arktykę i Antarktydę jako przestrzenie, w których topnienie lodu może otworzyć dostęp do surowców i zwiększyć rywalizację. W odniesieniu do Antarktydy sytuacja prawna jest jednak zasadniczo odmienna. Protokół o ochronie środowiska do Traktatu Antarktycznego zakazuje działalności związanej z zasobami mineralnymi poza badaniami naukowymi i określa Antarktydę jako rezerwat naturalny przeznaczony pokojowi i nauce.

Co więcej, rozpowszechnione twierdzenie, że "zakaz wydobycia wygasa w 2048 roku", jest nieprawdziwe. Strony systemu traktatowego oficjalnie przypominają, że Protokół madrycki nie wygasa w 2048 roku; data ta wiąże się jedynie ze szczególnymi warunkami ewentualnej procedury przeglądowej. Klimat może zwiększać strategiczne zainteresowanie Antarktydą oraz znaczenie badań, logistyki i obecności państw, ale nie można obecnie pisać o legalnym otwarciu kontynentu na wyścig wydobywczy tak, jakby był on prostym odpowiednikiem Arktyki.

Odporność narodowa kontra konieczność globalnej współpracy

To rozróżnienie uwypukla znaczenie prawa w świecie zdominowanym przez siłę. Fizyczna możliwość i prawna dopuszczalność to dwie różne kwestie. Zmiana klimatu może stworzyć techniczną szansę na dostęp do określonej przestrzeni, jednak system norm może ograniczać sposób wykorzystania tej możliwości. Powracamy zatem do pytania z początku artykułu: czy norma okaże się wystarczająco silna w momencie, gdy ekonomiczna i strategiczna wartość jej naruszenia gwałtownie wzrośnie?

Antarktyda może stać się jednym z przyszłych testów dojrzałości systemu międzynarodowego. Nie chodzi tu o to, że wojna o minerały jest nieuchronna, lecz o sprawdzian tego, czy państwa potrafią utrzymać reżim współpracy w obliczu zmieniających się technologii, klimatu i interesów. To niemal laboratoryjny przykład Andrewsowskiego konfliktu pomiędzy regułą a pokusą sprawczości. Podobnym wyzwaniem staje się zarządzanie zasobami w dobie transformacji energetycznej. Dekarbonizacja może osłabić znaczenie części paliw kopalnych, ale jednocześnie podnosi strategiczną rangę surowców niezbędnych do budowy sieci energetycznych, baterii, elektroniki czy technologii niskoemisyjnych. Transformacja nie oznacza więc końca geopolityki zasobów – zmienia

ona jedynie swój słownik. W XX wieku pytano, kto kontroluje ropę; w XXI wieku kluczowe będzie pytanie o to, kto panuje nad konkretnymi minerałami, zdolnościami rafinacyjnymi, technologiami magazynowania energii, półprzewodnikami, sieciami przesyłowymi i własnością intelektualną.

Przejście ku gospodarce niskoemisyjnej nie prowadzi do świata wolnego od zależności, lecz do świata innych zależności. Pojęcie bezpieczeństwa ekonomicznego zaczyna wypierać dawną ortodoksję maksymalnej efektywności. Państwa chcą wiedzieć nie tylko, gdzie produkt jest najtańszy, ale przede wszystkim czy będzie dostępny w czasie kryzysu. Stąd zjawiska takie jak friend-shoring, de-risking, regionalizacja, budowa rezerw czy subsydiowanie krajowej produkcji. Świat nie rezygnuje z handlu, lecz przestaje wierzyć, że wszystkie zależności są politycznie neutralne. "Mozaika fortec" nie oznacza całkowitego końca globalizacji; bardziej prawdopodobna jest jej selektywna fragmentacja. Dane mogą przekraczać jedne granice i być blokowane na innych. Kapitał może pozostać globalny, podczas gdy technologia strategiczna podlegnie coraz ściślejszej kontroli. Państwa mogą handlować z przeciwnikiem, jednocześnie przygotowując się do scenariusza jego odcięcia.

Globalizacja nie znika – zostaje podporządkowana geopolitycznemu rachunkowi ryzyka.

Świat zatacza koło. Liberalna globalizacja próbowała zredukować znaczenie granic politycznych poprzez mechanizm wzajemnych korzyści. Geopolityczne przebudzenie uświadamia jednak, że wzajemna zależność może być również podatnością. Reakcją na to jest budowanie odporności. Lecz odporność przesunięta zbyt daleko przeobraża się w autarkię, która niesie ze sobą ogromną cenę ekonomiczną. Państwa znów balansują między dwiema skrajnościami: podatnością wynikającą z nadmiernej zależności a ubóstwem będącym efektem nadmiernego odgrodzenia. Klimat czyni tę sprzeczność szczególnie niebezpieczną, gdyż skuteczne ograniczanie ryzyka klimatycznego wymaga właśnie współpracy międzynarodowej. Emisje gazów cieplarnianych nie zatrzymują się na granicach państw. Transformacja energetyczna opiera się na globalnych łańcuchach technologicznych, a wczesne ostrzeganie, badania klimatyczne czy ochrona oceanów wymagają wymiany danych. Im bardziej państwa zamykają się w fortecach, tym trudniej zarządzać problemem o naturze sieciowej.

Harari stawia pytanie, które można uznać za kontrapunkt dla Tukidydesa: jeżeli świat zostanie zorganizowany jako zbiór rywalizujących fortec pozbawionych silnych wspólnych instytucji, w jaki sposób będą one rozwiązywać konflikty, zanim test siły stanie się jedyną metodą rozstrzygnięcia? Andrews odpowiada na to pesymizmem Realpolitik: siła nie znika tylko dlatego, że jej użycie jest niebezpieczne. Jednak cała wcześniejsza analiza pozwala sformułować odpowiedź bardziej złożoną: właśnie świadomość siły powinna skłaniać do budowy reguł, ponieważ alternatywą dla prawa nie

jest spokojna suwerenność fortec, lecz permanentne sprawdzanie, która forteca jest silniejsza. Wtedy powraca Tukidydes.

Współpraca jako dalekowzroczna forma Realpolitik

Silny może zrobić to, na co pozwala mu jego potęga. Jednak klimat, pandemie, sztuczna inteligencja czy globalny system finansowy tworzą kategorię problemów, wobec których nawet najsilniejszy nie jest wystarczająco silny. Stany Zjednoczone nie mogą posiadać własnej atmosfery. Chiny nie są w stanie samodzielnie ustabilizować oceanów. Europa nie stworzy sprawnego systemu migracyjnego bez relacji z państwami pochodzenia i tranzytu, a Rosja nie oddzieli topnienia Arktyki od procesów globalnych.

W tym miejscu ujawnia się granica klasycznej Realpolitik: istnieją zagrożenia, których nie da się pokonać zwycięstwem nad przeciwnikiem, ponieważ przeciwnikiem nie jest inne państwo. To jedna z kluczowych korekt, jakie XXI wiek wnosi do nurtu realistycznego. Geopolityka pozostaje grą interesów, lecz część z nich stała się obiektywnie wspólna. Państwa mogą spierać się o podział kosztów polityki klimatycznej, a jednocześnie mieć wspólny interes w ograniczaniu katastrofalnych skutków zmian środowiskowych. Mogą rywalizować o prymat w dziedzinie sztucznej inteligencji i zarazem dążyć do ograniczenia ryzyka systemów wymykających się spod kontroli. Mogą konkurować gospodarczo, potrzebując jednocześnie wspólnych standardów, bez których globalny handel staje się zbyt ryzykowny.

Realizm dojrzały musi zatem uznać nie tylko konflikt między podmiotami, ale i napięcie między interesem krótkoterminowym a długofalowym. Państwo może zyskać doraźną przewagę dzięki działaniu, które osłabia system niezbędny mu w przyszłości. Może wygrać wojnę handlową, tracąc przy tym stabilny rynek. Może podważyć instytucję ograniczającą przeciwnika, by odkryć później, że ta sama struktura była zabezpieczeniem przed arbitralnością silniejszego. Może odrzucić współpracę klimatyczną jako zbyt kosztowną, by następnie ponosić wielokrotnie wyższe koszty adaptacji.

Tutaj Andrewsowski realizm spotyka się z problemem Dobra Wspólnego na poziomie globalnym. Nie musi ono oznaczać utopijnego zaniku państw, narodów czy ich partykularnych interesów. Może być jedynie rozpoznaniem, że istnieją dobra, których żaden naród nie wytworzy samodzielnie: względnie stabilny klimat, kontrola epidemii, bezpieczeństwo szlaków komunikacyjnych, interoperacyjność systemów czy ograniczenie ryzyka nuklearnego. Współpraca nie jest w tym ujęciu przeciwieństwem Realpolitik, lecz jej bardziej dalekowzroczną formą.

Z tej perspektywy najważniejszy podział przyszłości może nie przebiegać między Zachodem a Globalnym Południem, demokracją a autorytaryzmem czy Stanami Zjednoczonymi a Chinami. Może on biec pomiędzy państwami zdolnymi traktować współpracę jako narzędzie realizacji własnego interesu a tymi, które każdy kompromis interpretują jako utratę suwerenności.

Dojrzała potęga jako synteza odporności i współpracy

"Mozaika fortec" jest metaforą ostrzeżenia, a nie przepowiednią. Forteca może chronić przed najazdem, lecz nie gwarantuje pokoju między sąsiadami. Im wyższe mury, tym mniej wiemy o intencjach drugiego; im mniejsza współzależność, tym niższy gospodarczy koszt konfliktu. Gdy zasoby przeznacza się na obronę przed wszystkimi, sąsiedzi widzą coraz więcej powodów, by uczynić to samo. Wracamy do dylematu bezpieczeństwa w skali planety. Nie oznacza to jednak, że rozwiązaniem jest bezwarunkowa otwartość – świat Andrewsa wyraźnie pokazuje cenę naiwności.

Państwo musi chronić infrastrukturę, granice, technologie, ludność i podstawowe zdolności gospodarcze; odporność jest bowiem realnym składnikiem suwerenności. Problem pojawia się wtedy, gdy odporność utożsamia się z izolacją, a współzależność wyłącznie ze słabością. Dojrzała geopolityka przyszłości będzie sztuką świadomego wyboru zależności, a nie ich całkowitej eliminacji. Państwa będą dążyć do decydowania o tym, od kogo mogą zależeć, w jakiej dziedzinie i w jakim stopniu. Będą dywersyfikować dostawców, budować rezerwy i zabezpieczać infrastrukturę, pozostając jednocześnie częścią systemu, którego żadna forteca nie potrafi w pełni odtworzyć wewnątrz własnych murów.

Warto domknąć łuk rozpoczęty przez Andrewsa brutalną maksymą Tukidydesa. "Silni robią to, co mogą" pozostaje prawdą opisową tak długo, jak długo posiadają zdolność działania. "Słabi cierpią to, co muszą" jest ostrzeżeniem przed światem, w którym prawo nie posiada wystarczającego zaplecza sprawczości. XXI wiek dodaje do dialogu melijskiego trzecią kategorię: współzależni ponoszą konsekwencje tego, czego nie potrafią zrobić razem. To zmienia sens geopolitycznej anatomii. Siła nadal ma znaczenie, lecz już nie wystarcza.

Geografia wciąż ogranicza, choć sama ulega zmianom pod wpływem klimatu i technologii. Imperia mogą tracić spójność, ale nie istnieje historyczny zegar odmierzający ich nieuchronny kres. Demokracja bywa powolna, lecz jej procedury stanowią skuteczną technologię korekty błędu. Tożsamość może dzielić, ale bez niej nie ma mowy o solidarności. Hard power chroni, soft power przyciąga, cyber power rozszerza pole działania, a demografia dostarcza ludzi, bez których te narzędzia pozostają abstrakcją. Klimat przypomina, że żaden z tych zasobów nie funkcjonuje poza

fizycznym systemem planety. Niepokojące odkrycie Andrewsa nie sprowadza się więc do tezy, że świat staje się bardziej brutalny – historia znała epoki znacznie gorsze.

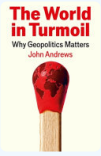
Jego właściwy niepokój wynika z innego paradoksu: świat staje się równocześnie bardziej zdolny do wyrządzania szkód i bardziej zależny od współpracy niezbędnej, by tych szkód uniknąć. Nigdy wcześniej pojedyncze państwa nie dysponowały tak wielką technologiczną sprawczością, a zarazem nigdy ich bezpieczeństwo nie zależało od tak rozległej infrastruktury współzależności. Pytanie nie brzmi, czy siła zostanie zastąpiona prawem – nie zostanie. Nie chodzi też o to, czy państwo ustąpi miejsca globalnej wspólnocie – nie stanie się tak. Kluczowe jest to, czy państwa będą zdolne używać własnej siły do podtrzymywania reguł ograniczających je same, nawet gdy w krótkim terminie mogłyby zyskać na ich złamaniu. Na tym polega prawdziwa próba cywilizacyjna. Mocarstwo nie dowodzi wielkości tylko tym, że może przekroczyć granicę. Dowodzi jej również wtedy, gdy potrafi uznać granicę, której przekroczenie byłoby możliwe, lecz destrukcyjne dla systemu podtrzymującego jego własną potęgę. Władza dojrzała nie polega na maksymalizacji zdolności czynienia wszystkiego, co możliwe, lecz na umiejętności rozpoznania, czego – mimo posiadanej siły – robić nie należy.

XXI wiek może stać się mozaiką fortec, a Andrews jednym z kronikarzy intelektualnych świata, który dostrzegł powrót mapy, lecz nie potrafił wyciągnąć z niego konsekwencji instytucjonalnych. Jeśli jednak państwa zdołają połączyć odporność z kooperacją, Realpolitik z prawem, suwerenność z odpowiedzialnością i interes narodowy z rozpoznaniem interesów wspólnych, obecny "zamęt" można odczytać inaczej: nie jako początek upadku ładu, lecz jako bolesny okres jego przebudowy. Historia nie daje gwarancji żadnego z tych scenariuszy. Tukidydes ostrzega przed strachem, Ibn Chaldun przed utratą spójności, Glubb przed samozadowoleniem sukcesu, Huntington przed potęgą różnicy, Fukuyama przed niezaspokojoną potrzebą uznania, Nye przed myleniem przymusu z pełnią potęgi, a Andrews przypomina, że pod każdą z tych abstrakcji wciąż znajduje się mapa. Możemy przesyłać kapitał, dane i idee z szybkością światła, lecz nadal żyjemy na jednej planecie, po której przemieszczają się ludzie, towary, armie i skutki naszych decyzji. Adekwatną odpowiedzią na brutalne "might is right" nie jest idealistyczne zaprzeczenie znaczeniu siły, lecz bardziej wymagająca maksyma: siła określa, co możemy zrobić; cywilizacja zaczyna się od decyzji, czego z tej możliwości nie uczynimy.

> W ostatecznym rozrachunku potęga mocarstwa nie mierzy się już tylko liczbą przekroczonych granic, lecz odwagą do uznania tych, których przekroczenie byłoby destrukcyjne dla systemu podtrzymującego jego własne istnienie. Choć siła wciąż definiuje zakres naszych możliwości, to prawdziwa cywilizacja zaczyna się dopiero w

momencie świadomej decyzji o tym, czego – mimo posiadanej mocy – nie uczynimy. Pytanie brzmi: czy zdołamy zbudować prawo silniejsze niż pokusa doraźnego zwycięstwa, zanim test siły stanie się jedyną dostępną metodą rozstrzygania sporów?

Inspiracje

[1] 

"The World in Turmoil Why Geopolitics Matters" John Andrews

Ips - Profile Books | ISBN: 9781805224754

John Andrews to wybitny dziennikarz polityczny i pisarz, powszechnie znany ze swojej bogatej kariery jako korespondent zagraniczny „The Economist", którą pełnił przez 24 lata. Jego praca dziennikarska obejmowała Bliski Wschód, Europę, Azję i Stany Zjednoczone, co zapewniło mu dogłębną wiedzę na temat spraw globalnych i stosunków międzynarodowych. Przed długoletnią pracą w „The Economist", pisał o Afryce Północnej i Bliskim Wschodzie dla „The Guardian" i NBC News. Andrews jest płodnym autorem specjalizującym się w geopolityce, analizie konfliktów i trendach globalnych. Do jego najważniejszych osiągnięć należą takie dzieła jak „The World in Conflict" i „The Economist Book of Isms". Znany jest z wnikliwego, analitycznego podejścia do złożonych kwestii międzynarodowych, oferując kontekst historyczny i strategiczne spostrzeżenia na temat sił kształtujących współczesny świat.

John Andrews *is a distinguished political journalist and writer, widely recognized for his extensive career as a foreign correspondent for The Economist, a role he held for 24 years. His journalistic work has spanned the Middle East, Europe, Asia, and the United States, providing him with deep expertise in global affairs and international relations. Before his long tenure at The Economist, he reported on North Africa and the Middle East for The Guardian and NBC News. Andrews is a prolific author specializing in geopolitics, conflict analysis, and global trends. His notable contributions include works such as The World in Conflict and The Economist Book of Isms. He is known for his clear-sighted, analytical approach to complex international issues, offering historical context and strategic insights into the forces shaping the modern world.*

The Economist

Literatura uzupełniająca

Książki

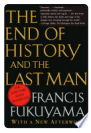
Książki autorów przywoływanych i literatura pokrewna:

[1] **"After the end of history : conversations with Francis Fukuyama"**

Francis Fukuyama

[2] **"The Origins of Political Order"**

Francis Fukuyama



[3] **"The End of History and the Last Man"**

Francis Fukuyama

Simon and Schuster | ISBN: 9780743284554

[4] **"Book of Lessons (Dār al-Fikr, 1981)"**

Ibn Chaldun

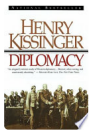
[5] **"Muqaddimah"**

Ibn Chaldun

ISBN: 9789795411307

[6] **"An African Prayer Book"**

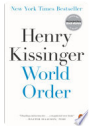
Desmond Tutu



[7] **"Diplomacy"**

Henry Kissinger

Simon and Schuster | ISBN: 9780671510992



[8] **"World Order"**

Henry Kissinger

Penguin | ISBN: 9780698165724

[9] **"Leadership: Six Studies in World Strategy"**

Henry Kissinger

[10] **"Statement Supporting the American Negroes In Their Just Struggle Against Racial Discrimination by U.S. Imperialism"**

Mao Zedong



[11] **"Soft Power: The Means To Success In World Politics"**

Joseph Nye

Public Affairs

[12] **"The Paradox of American Power"**

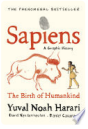
Joseph Nye

Oxford University Press, USA | ISBN: 9780195150889

[13] **"Nexus"**

Yuval Noah Harari

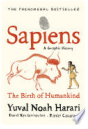
ISBN: 9788308085226



[14] **"Sapiens: A Graphic History"**

Yuval Noah Harari

Random House | ISBN: 9781473582910



[15] **"Sapiens: A Graphic History: The Birth of Humankind"**

Yuval Noah Harari

Random House | ISBN: 9781473582910

Artykuły naukowe

Prace autorów przywoływanych w tekście:

[1] **"The “End Of History” 20 Years Later"**

FRANCIS FUKUYAMA

2010 | New Perspectives Quarterly | DOI: 10.1111/j.1540-5842.2010.01124.x

Źródło

[2] **"The End of History?"**

Francis Fukuyama

2020 | The New Social Theory Reader | DOI: 10.4324/9781003060963-49

Źródło

[3] **"Reflections on the End of History, Five Years Later"**

Francis Fukuyama

1995 | History and Theory | DOI: 10.2307/2505433

Źródło

[4] **"17 Democracy and “The End of History” Revisited"**

Francis Fukuyama

2005 | Democracy Rising | DOI: 10.1515/9781685857844-018

Źródło

[5] "Migration is the Central Issue of the 21st Century"

Samuel P. Huntington

2001 | New Perspectives Quarterly | DOI: 10.1111/0893-7850.00313

Źródło

[6] "The Clash of Civilizations?"

Samuel P. Huntington

2000 | Globalization and the Challenges of a New Century | DOI: 10.2307/j.ctt2005tk7.6

Źródło

[7] "Who Are We?: The Challenges to America's National Identity"

S. Huntington

2018 | DOI: 10.2307/4531363

Źródło

[8] "The Soldier and the State in the 1970s"

S. Huntington

2019 | The Changing World of the American Military | DOI: 10.4324/9780429309489-2

Źródło

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: e3b50843-c667-4a02-9530-e3025deb3e87